Osiem stron

Str. 3: 950 LAT METROPOLII W GNIEŹNIE

Cena 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - KULTURALNY

Rok IV. Londyn, niedziela 14 maja 1950 Nr. 20 (151)

JAN WOJCIECHOWSKI

POWTÓRZENIE ŚLUBOWANIA

CZYTELNICY polskiej prasy katolickiej wiedzą już zapewne, że w dniu święta Zesłania Ducha Św., akademicy organizują pielgrzymkę do Walsingham, połączoną z powtórzeniem Ślubowań Jasnogórskich. Ta wiadomość dla wielu z nas niesie liczne wspomnienia, ożywia wiarę, budzi nowe nadzieje; są jednak i tacy, dla których nic one nie znaczą, a jedyną refleksją będą pytania: Po co? Jaki sens w naszych czasach...

Świat i wszystko, co w nim zawarte, ma różne oblicza. Inaczej wygląda widziany oczyma stuokich owadów, inaczej oczyma zwierząt. Ale i ludzie różnie się nań patrzą, nie wszyscy widzą to samo i nie wszyscy jednakowo tę samą rzeczywistość pojmują. A przecież patrząc poprzez wiarę i dostrzegając, na ile to możliwe, nadprzyrodzony sens życia naszego, spostrzeżemy, iż rzeczywistość materialna schodzi do roli mało znaczącej wobec ogromu rzeczywistości nadprzyrodzonej.

Spróbujmy choć na chwilę uprzytomnić sobie, że Bóg w dobroci swej nie ograniczył się jedynie do szczęścia własnego, ale chcąc się nim dzielić, powołał do życia byty, cały świat: niewidzialny i ten, którego maleńki fragment znamy poprzez zmysły, nazywając to poznanie „dorobkiem współczesnej nauki". W świecie tym — człowiek jest wyróżniony, gdyż jednoczy w sobie dwa elementy: materialny i duchowy. Człowiek został uprzywilejowany, gdyż sam Stwórca przyjął jego postać. Wyróżnienie zaszczytne i zobowiązujące, jak zobowiązującym jest fakt wyposażenia duszy człowieka we władzę poznawczą — rozum i pożądawczą — wolę.

Paradoks istotny leży w tym, że Stwórca tak dalece umiłował swe stworzenie, że obdarzył je wolną wolą, którą lojalnie szanuje, pragnąc, aby człowiek sam Go odszukał, uznał i poddał się Jego woli, odpowiadając miłością za miłość.

Grzech pierworodny zamącił tragicznie istniejącą harmonię. Aby tę równowagę przywrócić, trzeba było cudu Miłosierdzia Bożego — dzieła Odkupienia, w którym tak olbrzymi udział ma Najświętsza Maria Panna. Bóg szanując wolną wolę człowieka od jego zgody uzależnił swe plany. Nawet Odkupienie było uwarunkowane od zgody Bogarodzicy, Nic też dziwnego, że wzamian za to przyzwolenie, które kosztowało Ją tyle upokorzeń i boleści — Bóg wyróżnił Niepokalaną i uczynił Ją wszechpośredniczką łask.

Jest dla nas Matka Boża nie tylko wzorem życia na ziemi, lecz jako Matka Chrystusowa i Współodkupicielka — najbliższą światu w pośredniczeniu między nami i Swym Synem. Dlatego też od najdawniejszych wieków kult Marii był tak żywy w Kościele. Maria Panna, jakby na dowód swej troski o nasze losy, tak bardzo pragnie, by świat Ją uznał za swoją Matkę, że zniża się do nas w objawieniach, znanych i w ostatnich czasach. A było ich i dawniej wiele: Paryż, La Salette, Lourdes, Fatima, — zbliżała się do nas jako matka zatroskana o los swych dzieci. Czyż więc dziwić się mamy ojcom naszym, że obrali Ją Królową Korony Polskiej, a młodzieży Akademickiej, że obrała Ją sobie za Patronkę? Tylko pamiętać należy, że taki Protektorat obowiązuje.

Zewnętrzna forma ślubowania, jak każdy akt materialny, wyrażając stan duchowy, jego pełne zrozumienie i wolę, jest w stosunkach ludzkich rzeczą naturalną i konieczną, choć może mieć różną wartość, zależną od intencji. Treść ślubowania jasnogórskiego ma swą przepotężną wymowę. Chodzi w nim nie o co innego, jak o przekształcenie całego życia, o podporządkowanie go woli Bożej, o odnowienie w s z y s t k i e g o w Chrystusie. Przez akt publiczny ślubowanie to stało się zewnętrznym wyrazem gotowości ufnego przyjęcia wezwania Bożego, jak to uczyniła Najświętsza Maria Panna.

Jak każde dzieło ludzkie, tak i akcja pielgrzymek maryjnych i ślubowań jasnogórskich skażona jest niedoskonałością wykonawców. Ale nie to jest ważne. Chodzi przecież o stronę nadprzyrodzoną. Stwarzanie warunków przyrodzonych, ułatwiających doprowadzenie woli do aktu nadprzyrodzonego jest życiową potrzebą. Metody są proste, byleśmy je chcieli wszyscy zastosować.

W zachęcie do uczestniczenia w podobnych aktach publicznych, jak pielgrzymka do Walsingham można by użyć tych wszystkich argumentów, jakie zwykle stosujemy w przekonywaniu znajomych o potrzebie wzięcia udziału w takiej czy innej uroczystości, mającej „szczególne" znaczenie, czy to ze względu na obecność dostojnych a rzadko ukazujących się osób, czy na ważność wydarzenia.

Walsingham, to miejsce szczególnego kultu maryjnego katolickiej Anglii. Tradycja podaje, że powrót Matki Bożej do Walsingham, będzie powrotem Anglii do jedności z Kościołem. Pierwotna statua Matki Bożej została spalona, a miejsce jej kultu jest jeszcze w rękach obcych. My, Polacy, mienimy się szczególnymi czcicielami Marii. — Czyż więc nie jest naszym specjalnym obowiązkiem, biorąc pod uwagę czas i miejsce, w jakim żyjemy, właśnie w ten sposób czynny przyłączyć się do wielkiego dzieła przywrócenia Bogarodzicy Jej wiana, jakim mieniła się Anglia przed reformacją?

Przedziwnie się składa, że myśl powtórzenia ślubowań na terenie Anglii padła już w roku 1940. A więc wtedy, kiedy o Walsingham nikt z nas jeszcze nie wiedział . Trzeba było dziesięciu lat oczekiwań i przygotowań, aby wreszcie doszło do tego ważnego aktu w Roku Jubileuszowym, gdy świat cały przez Ojca św. został wezwany do modlitwy i pokuty, by zawrócił ze złej drogi — na właściwą drogę. Wszyscy mamy wejść przez otwarte wrota Kościoła: równie wierzący, jak i niewierzący i ci, co zwątpili i oziębli wyznawcy... W atmosferze takiego właśnie nasilenia modlitw i łask, jakie w sposób widoczny stwierdzić możemy w Roku Jubileuszowym, ufać należy, że i akademicka pielgrzymka do Walsingham pogłębi nasze polskie życie religijne i przyczyni się do uproszenia nowych łask o nawrócenie Anglii i odnowienie czci Marii.

W czasie, gdy nasi najbliżsi cierpią prześladowanie religijne w Kraju, gdy setki księży jest uwięzionych, tym większa odpowiedzialność spada na nas, czytelników prasy katolickiej. Nie wolno nam być biernymi. Weźmijmy więc udział w akademickim ślubowaniu w Walsingham. Jak w r. 1936 niemal cała Polska wspierała swymi modlitwami ślubujących, tak my powinniśmy — przynajmniej przez ofiarowanie w Zielone Święta naszego uczestnictwa we Mszy św. i Komunii, a jeśli można i szczególnych modlitw przez cały maj — zjednoczyć się duchowo ze ślubującymi. Nie trudno uprzytomnić sobie, jaka to byłaby potęga — gdyby choć tylko tych parę tysięcy czytelników prasy katolickiej zechciało zjednoczyć swoje intencje, by ślubujący, wsparci przez nasze modlitwy, godnie spełnili swoje zadanie. Miłość Matki Bożej ogarniająca świat, udzieli się tym, którzy jej służą.

Jan Wojciechowski

X. BISKUP J. GAWLINA DO MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ

Droga Młodzieży Akademicka!

GDY otrzymałem Wasze zaproszenie na pielgrzymkę do Walsingham, gdzie w Święto Zesłania Ducha Świętego odnowicie ślubowania Jasnogórskie, żałowałem bardzo, że będzie to miało miejsce w tym samym czasie, co i Zjazd Katolicki Polaków w Szwajcarii, którym już przedtem przyrzekłem swój udział. Tym niemniej będę i z Wami razem duszą i sercem.

Cóż bowiem piękniejszego nad zdrową, ideową młodzież akademicką, która jawnie i otwarcie wyznaje swą miłość do Najświętszej Panny, Królowej i Matki naszej. Cóż poważniejszego nad karne zastępy przyszłych przewodników Narodu, którzy w zasadach wiary i prawdy widzą przyszłość Polski.

Żywo przypominam sobie historyczne ślubowania Jasnogórskie, złożone przez Was na dostojne ręce ś.p. Ks. Kardynała Prymasa w 1936 r. Młodzież akademicka rozpoczęła wówczas święty łańcuch ślubowań, do którego niebawem przyłączyła się młodzież cała, włączyli się chłopi, uczeni i szlachta. Nie wątpię, że słowo honoru dane w ten sposób Najświętszej Pannie przez wszystkie warstwy, uzdolniło cały Naród nasz do utrzymania się na tym podziwu godnym i wysokim poziomie moralnym, jaki wszyscy Polacy podczas wojny wykazali.

Nie zabrakło tym ślubowaniom — jak dobrze wiecie — wówczas licznych wrogów. Posądzano Was o politykę (a czegóż nie nazywa się polityką, gdy się chce uderzyć w szeregi katolickie?), zarzucano Wam oszczerczo nienawiść do innych, a na pewnym, przeciwko Wam zwołanym zjeździe, który równocześnie o jakieś 500 km. dalej obradował, głoszono już przed południem, jakobyście w Częstochowie okrutnie się obchodzili z innowiercami. Dziwna, lecz zbyt przejrzysta była ta „telewizja" niechęci.

I znów, gdyście na terenie W. Brytanii ślubowania swoje wznawiali, przeciwnicy obozu, który Was w 1936 r. zniesławiał, wydobyli te zarzuty z lamusa, by je Wam ponownie cisnąć w twarz. Jakaż tych przeciwników mogła łączyć wspólnota interesów? Chyba tylko wspólnota antykatolicka i niechęć do naszych ideałów.

Wiem, że nie dacie się ani odstraszyć ani złamać. Mocno bowiem tkwią w Was korzenie wiary i miłości do Matki Bożej.

Ostatecznie po tylu doświadczeniach minionego dziesięciolecia zrozumieli już wszyscy, że nie warto sie oglądać na błyszczące i zbyt pochopnie dawane i łamane obietnice, lecz że jedyna nadzieja jest w Bogu i Najświętszej Jego Matce . „Bóg jest prawdziwym Gentlemanem", powiedział ktoś bardzo doświadczony życiem, t.j. Bóg jeden jest wierny.

Zesłanie Ducha Świętego przypomni Wam, że mimo wszystkich odmiennych pozorów żyjemy w erze Jego panowania, że On zwycięży bramy piekieł, że zwodniczym blaskom fałszywego wizjonerstwa materialistycznego, które się przerodziło w „Anty-Kościół", przeciwstawić musimy promienie Ducha Świętego i łask Jego. Z tego płynie Wasz obowiązek torowania dróg działaniu Ducha Świętego we własnym sercu, wśród bliźnich i w świecie.

A że to Najświętsza Matka była, która przez Swe skuteczne modlitwy osiągnęła, iż Duch Boskiego Zbawiciela, wśród cudownych darów Kościołowi na Pentekostę został udzielony — jak pisze Pius XII w Encyklice „Mystici Corporis" — przeto też słusznie Jej ślubujecie i Jej opiece powierzacie siebie i Polskę. Życzę Wam przeto z głębi serca, aby Matka Najświętsza Was do doskonałej miłości Bożej porodziła.

Życzę nam wszystkim, aby się spełniły słowa Apokalipsy, mianowicie, iż zrzucony zostanie ów smok wielki, którego zowią diabłem i który zwodzi cały świat, a z nim razem aniołowie jego (Apok. 12, 9).

Nos cum prole pia benedicat Virgo Maria.

+ Józef Gawlina
Biskup

Rzym, Wielkanoc 1950.

JĘDRZEJ GIERTYCH

DO GROBU ŚW. PIOTRA

GDY w Wielką Sobotę stałem wraz z grupą 70 polskich pielgrzymów w Bazylice św. Piotra w Rzymie w huczącym jak morze, wielojęzycznym tłumie około 30.000 uczestników zbiorowej audiencji papieskiej, których Ojciec Święty błogosławił z wysokości Swej lektyki i Swego tronu, przyszła mi do głowy nagła myśl: ciekawa rzecz, jakby się czuł i coby pomyślał, gdyby się znalazł w tym tłumie, jakiś wybitny protestant, — na przykład anglikański, lub szwedzko-luterański arcybiskup? Albo jakiś anglosaski polityk-mason? Albo jakiś czołowy komunista? — Pomyślałby sobie z pewnością: oto stoję w obliczu potęgi. Mierząc rzeczy miarą ziemską, jest to siła, która zasięgiem swym oplotła świat od krańca do krańca i która zna jednego tylko, równego sobie potęgą, solidarnością i dyscypliną rywala: celebrujący czasem swe obchody takimi samymi tłumami na Placu Czerwonym w Moskwie — komunizm. Mierząc rzeczy miarą duchową — jest to siła, jakiej drugiej w świecie nie ma.

Bazylika jest wielka, jak górska dolina. Kopuła wznosi się ponad głowami, jak sklepienie niebios; gdyby w tej kopule ustawić wieżę jasnogórskiego klasztoru, jeszczeby zostało sporo miejsca do szczytu. Gdy Ojciec Święty przepłynął w swej lektyce od wejścia szpalerem wśród tłumu, utrzymywanym przez żandarmerię Państwa Watykańskiego i oddalił się ku ołtarzowi Św. Piotra, przed którym, ponad grobem największego z Apostołów, ustawiony był papieski tron — biała Jego postać zmalała w oddali jak sylwetka człowieka, pnącego się ścieżką po drugiej stronie szerokiego górskiego wąwozu. A jednak cała ta olbrzymia przestrzeń wypełniona była tłumem. Tłumem tak wielkim, że chwilami strach ogarniał, czy się przy wychodzeniu ludzie nie poduszą.

Czekając na nadejście Ojca Świętego, tłum ten, na komendę, podawaną przez głośniki, śpiewał pieśni religijne i głośno odmawiał modlitwy. Na zmianę, z tysięcy coraz to innych ust spływały chóralnie słowa włoskie, francuskie, niemieckie, angielskie, holenderskie. A potem Ojciec Święty przez głośniki przemawiał. Powtórzył to samo, krótkie przemówienie w sześciu językach: po włosku, francusku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku i portugalsku. I wyliczył obecne w bazylice pielgrzymki. Przejmujące wrażenie robiło to długie zestawienie grup, czasem kilkotysięcznych: skauci francuscy, pielgrzymka młodzieży szwajcarskiej, robotnicy z Bolonii, takie a takie grupy wiejskie z Francji, Belgii, Włoch, Holandii, Austrii... Z samej Irlandii pielgrzymek była długa lista; — jedna po drugiej padały nazwy irlandzkich miast i prowincyj. Nie brak było i grup i zza Oceanu: ze Stanów Zjednoczonych, ze szczególnie gorąco przez papieża pozdrowionej, francuskiej Kanady, a nawet z przyjętej osobnym, portugalskim przemówieniem, dalekiej Brazylii. A wszystko to pochylające się wspólnie przed papieskim błogosławieństwem, odmawiające w różnych językach te same modlitwy, ożywione tą samą myślą i uczuciem.

Ależ to niezwalczona potęga, — musiałby pomyśleć protestant, komunista, czy mason. Potęga obecna w każdym kraju, wszędzie mająca za sobą tłumy olbrzymie, zdyscyplinowane i żarliwe. Jeśli się z niepokojem i troską szuka w świecie sił do obrony cywilizacji przed komunistycznym zalewem — to może się tu stwierdzić z uczuciem otuchy i ulgi: oto są te siły — gotowe i mocne. Jeśli się pragnie świat zburzyć i na modłę komunistyczną przerobić — to musi się uznać: daremne nasze wysiłki, jeśli się tej potęgi nie złamie. Zjawili się tu oto nie dla demonstracji, ale dla modlitwy i uzyskania odpustów. Ale jakże potężną — tym potężniejszą, że nie zamierzoną i będącą jakby skutkiem ubocznym — demonstracją wszechświatowej siły katolickiej jest ten zjazd katolików na Rok Święty w Rzymie!

Rzym jest dziś pełny pielgrzymów. Czuje się dziś, że to jest stolica świata — doprawdy jedyna poza Mekką sił antychrystowych, Moskwą, prawdziwa stolica świata. Jakże prowincjonalny, jakże mało ważny ze swym gospodarczym znaczeniem, że swą giełdą i portem, wydaje się w porównaniu z Rzymem — Londyn! To tu, w Rzymie, koncentruje się to wszystko, co w świecie nurtuje naprawdę istotnego i decydującego: twórcze i trwałe prądy duchowe. Gdy się zanurzyć w tym tłumie, wśród którego tyle widać sutann i biskupich fioletów i zakonnych habitów i w którym po bratersku mieszają się z sobą czarne twarze księży-murzynów z jasnymi włosami dzieci krajów północnych: — to się ma uczucie po prostu fizycznego wyczuwania pulsu, którym w całym świecie tętni życie katolickiego Kościoła. A przy tym — jakże swojsko się w tym tłumie czujemy! Jesteśmy w Rzymie — u siebie. Rzym jest także naszą stolicą. Ten kościół polski św. Stanisława, w którego murach bywali polscy królowie, w którym modlono się i w erze potopu szwedzkiego i w chwili bitwy pod Chocimem, czy pod Wiedniem; — kościół oddany w ręce polskiego narodu, gdy panowała jeszcze w Polsce dynastia jagiellońska, — te polskie instytucje i domy; — te polskie, lub pół-polskie zgromadzenia zakonne; — polskie ołtarze z relikwiami polskich świętych: — to nie są placówki emigracyjne, oderwane od gruntu i błąkające się na tułactwie. To są cząstki życia polskiego, cząstki Polski, — znajdujące się w Rzymie, bo tu jest ich miejsce, tu w naszej prawowitej, naszej własnej, kościelnej stolicy. Nikt nas u stóp bazyliki św. Piotra za cudzoziemców, za obcych przybłędów nie uważa: w murach Watykanu jesteśmy członkami tej samej rodziny, współsynami i współgospodarzami.

Cały świat katolicki dał sobie na placu św. Piotra spotkanie. A jednak — o mało w tym miejscu spotkania nie zbrakło Polski, najbardziej chyba poza Hiszpanią i najjednoliciej katolickiego narodu na świecie. O mało nie zbrakło — bo Polska jest od Rzymu odcięta „żelazną kurtyną" i żadne pielgrzymki przybyć z Polski do Rzymu nie mogą.

A przecież zbraknąć Polski w Roku Świętym w Rzymie nie mogło. Aby jej tam nie zbrakło, aby nie zbrakło w rzymskim chórze jubileuszowych modłów także i żarliwej modlitwy polskiego narodu, — stawiła się w Rzymie polska emigracja.

Za kilku nawrotami jadą w ciągu bieżącego roku do Rzymu pielgrzymki polskie z Londynu. Dochodzą one do skutku dzięki niezmordowanej energii organizatora zeszłorocznej wielkiej polskiej pielgrzymki akademickiej do Walsingham i przygotowywanych na 28 maja bieżącego roku na jeszcze większą skalę w tymże Walsingham polskich ślubowań akademickich, X. Henryka Kornackiego.

Pierwsza z tych pielgrzymek udała się do Rzymu na Wielkanoc, danym mi było wziąć w niej udział. Nie była to pielgrzymka liczna: składała się ona z około 70 osób. Dobrze jednak reprezentowała ona emigrację, stanowiąc prawdziwy jej przekrój. W skład jej wchodziły osobistości wybitne — gen. Józef Haller, wdowa po śp. prezydencie Raczkiewiczu, — wchodziła także szara masa uchodźcza: inteligenci i ludzie prości, kobiety i mężczyźni, starcy i młodzież, księża i świeccy. Pielgrzymka przebyła całą drogę dwoma specjalnie wynajętymi autobusami; tylko parę osób — najsędziwszych, lub najwątlejszego zdrowia — odbyło podróż koleją. Ta wspólna droga we własnym zespole pozwoliła się pielgrzymce zrosnąć w jedno i ożywić wspólnym duchem. Nawet ci, co zgłosili swój udział w pielgrzymce raczej z myślą o taniej i interesującej, zagranicznej wycieczce, niż o duchowej korzyści z modlitwy i odpustów, ulegli stopniowo wspólnemu nastrojowi, coraz chętniej i goręcej łącząc się w jej zbiorowych aktach pobożności.

Duch i atmosfera pielgrzymki były zasługą X. Kornackiego, który był nie tylko jej organizatorem technicznym, ale i przewodnikiem duchowym; wszyscy uczestnicy pielgrzymki zachowają z głęboką wdzięcznością zapewne na długie lata, lub na całe życie we wspomnieniu wpływ duchowy, jaki na pielgrzymkę jako całość i na każdego z jej uczestników z osobna zdołał wywrzeć. Mimo, że pełna niezapomnianych wrażeń turystycznych, pielgrzymka nie była wycieczką, ale prawdziwą pielgrzymką. Myślę, że nie popełnię niedyskrecji, gdy powiem, że owocem jej jest kilka nawróceń od obojętności religijnej ku wierze. Nastrój pielgrzymki był do zawdzięczenia zarówno potężnemu wpływowi przeżyć zewnętrznych, — obrazowi katolickiego Rzymu w Roku Jubileuszowym, nastrojowi nabożeństw i w samym Rzymie, i gdzie indziej-, na przykład w przejmującej ciszy podziemnej krypty u grobu św. Franciszka w bazylice w Asyżu, oraz wrażenia, jakie zrobiła masowa audiencja u Ojca św., jak i pobożnemu usposobieniu większości jej uczestników.

Nigdy jednak pielgrzymka nie stałaby się takim religijnym przeżyciem, gdyby nie mądre i celowe jej pokierowanie, sprzyjające wewnętrznemu skupieniu. Zaczęliśmy pielgrzymkę wspólną Mszą św. i wspólną Komunią św. w Hospicjum św. Stanisława na Earls Court w Londynie, skąd bezpośrednio zabrały nas autobusy, którymi pojechaliśmy do Duwru. Kilkakrotnie w samej drodze, a więc poza Rzymem, mieliśmy sposobność do wysłuchania Mszy św. i znowu przyjęcia Komunii św. Jadąc autobusem przez Anglię, Francję, Włochy w ciągu długich ranków, dni i wieczorów, spędzanych w szybkim pędzie wśród zachwycających, rozkwitających wiosną, zmieniających się jak w kalejdoskopie krajobrazów, zaczynaliśmy dzień wspólną, głośną modlitwą i śpiewem. Modliliśmy się na Anioł Pański w południe. Kończyliśmy dzień wspólną modlitwą wieczorną. Wspólnie, głośno odmawialiśmy różaniec. Słuchaliśmy krótkich kazań. Czytaliśmy głośno wielkopostne teksty Ewangelii. Dość dużo pieśni pobożnych śpiewaliśmy. (Pieśni świeckie śpiewał jeden autobus, drugi nie śpiewał ich wcale). Kto chciał, mógł się na postojach wyspowiadać. — To miało swój wpływ. Stopniowo, podróż przekształcała się w rodzaj nie męczących i bardzo miłych rekolekcyj, których nastrój udzielał się wszystkim. Mieliśmy w naszym gronie także parę cudzoziemek, Angielek i Irlandek. Mówiły nam, że są pod wrażeniem naszej pielgrzymki i że nigdy jeszcze w tak prawdziwej, pobożnej pielgrzymce nie uczestniczyły.

Trzeba stwierdzić, że pielgrzymki religijne zaczynają się stawać formą pobożności, która w życiu katolickim Polaków w Wielkiej Brytanii poczyna się zaznaczać swoistym, godnym uwagi piętnem. Dotyczy to głównie Walsingham. Ale i pielgrzymki do Rzymu też zapewne, mimo swej liczebnej szczupłości, będą miały swój wpływ. Trzeba w związku z tym raz jeszcze podkreślić szczególniejszą rolę i zasługę X. Kornackiego, będącego duszą i jednych i drugich.

Przeżycia religijne uczestników pielgrzymki były bogate. Przede wszystkim odbyliśmy zbiorową pielgrzymkę do czterech bazylik (św. Piotra, św. Pawła za murami, św. Jana na Lateranie i Santa Maria Maggiore) celem uzyskania odpustów jubileuszowych. Do każdej bazyliki wkraczaliśmy zwartą grupą, czwórkami, z Krzyżem i zapalonymi świecami na czele, z polskim śpiewem. Dzięki wspaniałej akustyce rzymskich świątyń, oraz dzięki temu, że przez poprzednie śpiewy chóralne w autobusie zgraliśmy się już jako chór, śpiew nasz brzmiał pod sklepieniem bazylik potężnie; tylko u świętego Piotra tonęliśmy w masie. — Później klękaliśmy razem i chórem po polsku odmawialiśmy odpustowe modlitwy. — Spotykaliśmy zresztą w bazylikach mnóstwo innych takich samych zbiorowych pielgrzymek.

Byliśmy, jak już pisałem wyżej, na zbiorowej audiencji papieskiej u św. Piotra. Ci, co chcieli, byli w niedzielę wielkanocną na pontyfikalnej Mszy św. w tejże bazylice; — gen. Haller i parę jeszcze osób bardzo blisko ołtarza. Kilkakrotnie byliśmy w polskim, istniejącym od czasów kardynała Hozjusza kościele św. Stanisława; otrzymaliśmy tam Komunię św. z rąk J. E. X. biskupa Gawliny, wysłuchaliśmy Jego kazania, mogliśmy się wyspowiadać, odbyliśmy drogę krzyżową. Kto chciał, wszedł na klęczkach, dla otrzymania odpustu za zmarłych, po Sancta Scala koło Lateranu. Byliśmy później w Asyżu świętego Franciszka. I we „włoskim Walsingham": Loreto. I w Padwie świętego Antoniego. I później, już we Francji, w miejscu narodzin kultu Serca Jezusowego u grobu św. Marii Małgorzaty, w Paray — le — Monial.

Obok tych przeżyć religijnych — nie mniej głębokie były nasze przeżycia narodowe. Byliśmy na Monte Cassino — na pobojowisku, na gruzach klasztoru i na pięknym, dobrze utrzymanym, wspaniale założonym, górskim cmentarzu z górą tysiąca polskich poległych. Byliśmy na dwuch jeszcze innych, nawet jeszcze nieco większych polskich cmentarzach wojennych: w Loreto i Bolonii; byli w naszym gronie krewni żołnierzy, spoczywających na tych cmentarzach, — także jeden rodzony ojciec. Mogli oni swe groby odwiedzić. Wspólnie z nimi mogliśmy się na tych cmentarzach za naszych poległych pomodlić. Na mnie osobiście szczególnie wielkie wrażenie zrobił cmentarz w Bolonii: groby noszą przeważnie datę kwietniową 1945 roku, — gdy wojna się już kończyła, gdy Bierut rządził już w Warszawie, gdy było już dawno po Jałcie i gdy byliśmy już jawnie zdradzeni. Cóż za przejmujący dowód naszej narodowej tragedii! (Uwaga przy okazji: cmentarze są ślicznie urządzone, jeszcze za pieniądze wojskowe z czasów polskiej okupacji i starannie utrzymane. Jest na ich utrzymanie trochę funduszów w depozycie — ale fundusze te są za szczupłe; nie starczają na najniezbędniejsze rzeczy. Cmentarzem w Loreto opiekują się polskie SS. Nazaretanki, cmentarzem w Bolonii miejscowi studenci polscy. Ale zadanie utrzymania tak dużych cmentarzy jest dla nich zadaniem ponad siły. Nawet drutu nie ma za co kupić, by ogrodzić cmentarz w Loreto przed niepożądanymi gośćmi po nocach. Czy nie dałoby się czego na te potrzeby zaradzić?).

Widzieliśmy ponadto w Loreto wspaniałą polską kaplicę w bazylice, jedną z wspanialszych z istniejących tam kaplic narodowych. Widzieliśmy wreszcie w Rzymie, w Paryżu i gdzie indziej całe mnóstwo polskich pamiątek i instytucji.

Trzecim rodzajem przeżyć — są wrażenia czysto turystyczne. Pogoda sprzyjała nam świetnie, a trasę podróży obmyślono wspaniale. Oczywiście — wrażenia są powierzchowne. Trudno bliżej poznać Rzym w kilka dni, Paryż w jeden dzień, Wenecję w 4 godziny. Ale nawet takie pobieżne zwiedzenie daje pewne minimum pojęcia o zwiedzanych krajach i miastach, minimum cenne i kształcące zwłaszcza dla tych, co na dłuższy pobyt pozwolić by sobie nigdy w życiu nie mogli. Kto przejechał się parowczykiem po Canale Grande w Wenecji, był na placu św. Marka i na bulwarze przed pałacem Dożów i przeszedł się po weneckich zaułkach — ten jednak ma już jakieś o Wenecji pojęcie. I tak jest ze wszystkim.

Podróż autobusem daje o wiele więcej wrażeń turystycznych, niż podróż koleją. Obcuje się w niej o wiele bliżej z krajobrazem. Jedzie się na przełaj przez wsie, miasta i miasteczka. Na postojach, nie jest się na dworcach kolejowych, lecz w środku życia kraju, na jakimś rynku, przed fasadą kościoła, lub wśród pól. Mieliśmy przytem wyjątkowe szczęście: śniegi spadły w Alpach i zawieziono nas drogą okrężną — doliną Rodanu — ku morzu i potem wzdłuż całej francuskiej i włoskiej Riwiery, samym brzegiem morza, przez Cannes, Nizzę, Monte Carlo, San Remo do Genui. Kosztowało nas to trochę dodatkowego zmęczenia i jedną noc spędzoną nie w łóżku, lecz w autobusie, ale za to widzieliśmy całą Prowancję i Riwierę, zbieraliśmy macierzankę na postoju na zboczach Alpes Maritimes koło Aix, podziwialimy fasadę zamku papieskie-

Rota ślubowania Akademickiego

(złożonego przez Polską Młodzież Akademicką — przybyłą w pielgrzymce z całej Polski na Jasną Górę w dniu 24.V.1936)

*Wielka Boga Człowieka Matko, * Najświętsza Dziewico! * my młodzież akademicka, * z całej Polski zebrana, * prawowierni spadkobiercy odwiecznej praojców naszych pobożności, * upadając do stóp Twoich Przenajświętszych, * Ciebie Matkę Bożą * i Królowę Korony Polskiej obieramy na wieczne czasy * za Matkę i Patronkę Polskiej Młodzieży Akademickiej * i oddajemy pod Twoją przemożną opiekę * wszystkie wyższe uczelnie * i Polskę całą. — Wsłuchani bowiem w mocarne głosy przeszłości naszej, * wpatrzeni w świetlane obrazy chwały narodowej, * wierzymy mocno, * że Ojczyzna nasza miła * wtedy tylko potężną i szczęśliwą będzie *, gdy przy Tobie * i Synu Twoim * jako córa najlepsza wytrwa na wieki. **

*Przyrzekamy przeto * i ślubujemy Chrystusowi Królowi * i Tobie Królowej naszej, * Patronce Polskiej Młodzieży Akademickiej, * że zawsze * i wszędzie * stać będziemy przy świętej Wierze Kościoła Katolickiego * w synowskiej uległości dla Stolicy Apostolskiej. **

*Przyrzekamy i ślubujemy, * że wiary naszej bronić * i według niej rządzić się będziemy * w życiu naszym osobistym, * rodzinnym * społecznym, * narodowym * i państwowym. **

*Przyrzekamy i ślubujemy, * że z wszelką usilnością szerzyć będziemy cześć * i nabożeństwo dla Ciebie; * że każdego roku * w uroczystej pielgrzymce przychodzić będziemy * na Jasną Górę, * jako wybrani synowie do stóp Matki naszej umiłowanej. **

*Tak nam dopomóż Bóg * i Ty * Bogarodzico Dziewico * Bogiem sławiona Maryjo! — Maryjo, * Patronko Polskiej Młodzieży Akademickiej, * módl się za nami! **

go w Awinionie, mrużyliśmy oczy na zawrotnych serpentynach przed Genuą. A Alp też nie straciliśmy: przejechaliśmy przez nie w drodze powrotnej. Widzieliśmy palmy i drzewa oblepione dojrzałymi pomarańczami na Riwierze — a na przełęczach alpejskich lepiliśmy kule ze śniegu. I to wszystko za cenę o połowę mniejszą od tej, którą płaci się na pielgrzymkach angielskich za tę samą ilość dni, może z większym komfortem, ale ze szczuplejszą trasą i z połową albo z czwartą częścią naszych wrażeń! Doprawdy — także i firmie „Transglobe" trzeba za jej sprawność organizacyjną podziękować.

Jedną z przyczyn taniości pielgrzymki było to, że jedynie wyjątkowo mieszkaliśmy lub jadali w hotelach. Korzystaliśmy z gościny klasztorów i innych instytucji kościelnych i to głównie polskich. Przechodzę do bardzo ważnego punktu mego sprawozdania: do podkreślenia, jak bardzo nam w tych instytucjach było dobrze, jak gościnnie i serdecznie i uczynnie nas tam przyjmowano i jak bardzo czuliśmy się tam jakby w cząsteczce Polski. W imieniu uczestników pielgrzymki pragnę tu bardzo gorąco i serdecznie podziękować wszystkim rodakom, z którymiśmy się w drodze zetknęli, za okazane nam serce i pomoc. Nie sposób wszystkich nazwisk wymienić. Muszę jednak wymienić przede wszystkim J. E. X. biskupa Gawlinę, który tyle czasu nam raczył poświęcić. I przełożonych, oraz ogół mieszkańców instytucji, które nam udzieliły gościny, a więc Instytutu Polskiego w Rzymie, Seminarium Polskiego w Paryżu, domów zakonnych SS. Zmartwychwstanek w Rzymie, Nazaretanek w Loreto, Nazaretanek w Paryżu, a także instytucji włoskich: SS. Miłosierdzia w Rzymie i OO. Jezuitów w Padwie. I wreszcie wszystkich tych, co nam pomogli, udzielali informacji, mnóstwo nam opowiedzieli, a zwłaszcza, co inteligentnym oprowadzeniem i zwięzłym, dokonanym w ciągu minimum czasu a podającym w jasnej formie wszystko co naprawdę ważne wykładem pozwolili nam odnieść jak najwięcej pożytku ze zwiedzenia zabytków. A także tych, co pomagali nam — jak ów polski ksiądz w Rzymie, były komandos — który przez parę godzin pilnował na placu św. Piotra naszych autobusów (i walizek), gdyśmy byli na audiencji papieskiej. Albo tych sióstr w Rzymie, co nam przygotowały takie święcone, jakiego większość z nas, jako żywo, nie oglądała od czasów przedwojennych.

(A jednak obok podziękowań, nie mogę pominąć też i jednej skargi. Nie wiem kto tu zawinił — i nie chcę tego dociekać. Ale że sprawa ma znaczenie szersze od przykrości czysto osobistej, pominąć jej milczeniem nie sposób. Dlaczego, przed audiencją papieską, nie powiadomiono Ojca świętego, że jest w bazylice i pielgrzymka polska? Ojciec Święty wyliczał wszystkie pielgrzymki w swoim przemówieniu i do wszystkich się zwracał; byłby z pewnością zwrócił się — w obecności paru dziesiątków tysięcy innych pielgrzymów — też i do Polaków. Również i krótki pacierz po polsku przez głośniki w czasie godzinnego czekania na początek audiencji był zapewne rzeczą możliwą, gdyby o tym w porę pomyślano. A nie chodzi tu tylko o uczucia osobiste uczestników pielgrzymki: taka forma zaznaczenia obecności tej pielgrzymki w bazylice byłaby głośnym stwierdzeniem obecności Polski na Roku Świętym).

Gdyśmy wrócili z Rzymu — zajechaliśmy najpierw do kościoła polskiego na Devonia Road w Londynie, gdzie powitał nas krótkim przemówieniem i błogosławieństwem X. Prałat Staniszewski. Wracamy do powszedniego życia i pracy. Oby korzyści duchowe z pielgrzymki nie poszły na marne! I obyśmy z tego, cośmy na pielgrzymce zaczerpnęli, wnieśli jak najwięcej w nasze życie prywatne i w życie polskiej zbiorowości emigracyjnej, tak obojętnej religijnie, a tak potrzebującej religinego odrodzenia.

J. Giertych

JAN TOKARSKI

WIELKA ROCZNICA

NIE została zauważona na emigracji rocznica jednego z najważniejszych wydarzeń w naszych dziejach, mianowicie 950-lecie założenia metropolii w Gnieźnie. *) Wspomnienie tego faktu, który się dokonał na wiosnę roku 1000, uczcili katolicy w kraju. Główne uroczystości odbyły się w dzień św. Wojciecha, tj. 23 kwietnia, odbył się też u grobu Męczennika zjazd Episkopatu Polski.

Kiedy przed 3 laty Kościół w Polsce czcił 950-lecie męczeństwa pierwszego patrona naszego kraju, ówczesny Prymas Polski śp. X. kard. Hlond wydał głośny List Pasterski, posiadający trwałą aktualność. „Dzisiaj, pisał on, leżą na kuli ziemskiej cienie powrotnego pogaństwa. Nie mają one nic wspólnego z bogobojnym bałwochwalstwem przodków. Pogaństwo nowoczesne nie jest i nie chce być religią. Ma raczej cechy wojującego bezbożnictwa, które nie tylko Boga nie uznaje ,i wszelki pierwiastek Boski odrzuca, lecz Bogu urąga i wojnę wypowiada".

W cieniach tego pogaństwa żyją narody nie tylko za żelazną kurtyną. Jest on rzeczywistością i na t.zw. wolnych obszarach świata, choć różny jest stopień jego nasilenia. Jedną z jego form na „naszym" obszarze jest — deklamacja o „cywilizacji chrześcijańskiej", o „obronie chrześcijaństwa", gdy z tych treści zostały jedynie slogany, mające zastąpić brak wszelkich przemyśleń i akcji w obliczu narastającej grozy komunizmu. To amorficzne, bezkształtne „chrześcijaństwo", traktowane jako zwyczajna atrapa, wysuwana ze strachu przez materialistów zachodu, w poczuciu całkowitej pustki ideowej „obozu ludzi miłujących „wolność", którym m.in. zdaje się, że komunizm można zwalczyć hasłami, propagandą i bombą wodorową w zanadrzu — nie ma nic wspólnego, prócz nazwy, z chrześcijaństwem, które przed wiekami przyjmowała Polska, a którego blask po raz pierwszy rozbłysnął nad Europą od grobu św. Wojciecha, gdy 950 lat temu Bolesław Chrobry stając się przyjacielem cesarza i patrycjuszem Rzymu, wprowadził kraj nasz do idealnie pojętej wspólnoty narodów chrześcijańskich.

Dla nas chrześcijaństwo nie jest hasłem do walki zewnętrznej. Dla nas chrześcijaństwo nie jest zagrożone, jak nas tym nagle usiłuje przerazić pisarz od niego jak najdalszy a nagły jego obrońca Bertrand Russell, choć są zagrożeni chrześcijanie, choć zagrożone są pewne sposoby życia, nazywane fałszywym, interesownym mianem cywilizacji chrześcijańskiej.

Dla nas pełnia chrześcijaństwa, tak samo jak dla św. Wojciecha, nad którego grobem powstała jego polska organizacja, istnieje w Kościele Chrystusowym; a za taki, mówiąc słowami Prymasa ze wspomnianego Listu. uważamy Kościół katolicki z Papieżem jako Głową i Opoką. Nie martwią nas nadmiernie losy tych form życia, które nawet katolicy nazywają „kulturą chrześcijańską" bo wiemy, że kultury i cywilizacje, jako dzieła ludzkie, podlegają i muszą podlegać zmianom. Nie ma wiecznej, nieruchomej, zastygłej i niezmiennej „cywilizacji chrześcijańskiej" i nie ona „ratuje" chrześcijaństwo ani nie ona ma być ratowana. Chrześcijaństwo nie rodzi bowiem jednej uniwersalnej kultury, dla wszystkich czasów i dla wszystkich ludów, lecz jest sercem n a j r ó ż n i e j s z y c h stylów życia i dzieł ludzkich, które choć wychodzą z tych samych zasad podstawowych i niezmiennych, nie tylko, że są odrębne od siebie i zróżniczkowane, ale nawet nie równoległe — i to w jednej i tej samej epoce. Chrześcijaństwo więc nie ma jakiejś jednej, „własnej" kultury etatowej — ,zachodniej", jak chcieliby niektórzy. Kościół, Matka całej odkupionej ludzkości, pochyla się z miłością nad wszystkimi stylami i formami życia, gdzie tylko ma swoje dzieci i wszystkie te formy ze wszystkim, co w nich odpowiada potrzebom pełni życia fizycznego i duchowego na danym okręgu ziemi, podnosi i uszlachetnia. Przyjmuje całą ich różność a nie narzuca jednolitości i jednorodności, sprzeciwiającej się samym planom Stworzenia.

Kościół też przyjął i naszą kulturę, był i jest wciąż żywą treścią wiekowych jej form. Gdy przez przyjęcie chrześcijaństwa w obrządku łacińskim otwierała się wtedy Polska na wpływy kultury południa i zachodu, o wiele niższych wówczas niż kultura Bizancjum, pod której wpływami również kraj nasz się znajdował, nie była to recepcja bierna. Okazało się to dowodnie tak w czasie wiosennego aktu w Gnieźnie roku 1000 jak i potem, gdy po śmierci Ottona III. Bolesław musiał orężem przeciwstawić się zachodnim praktykom łączenia wiary z przymusem i próbom narzucania wraz z wiarą — treści i form politycznych i cywilizacyjnych. — „Święte cesarstwo" powstało jako pomoc Kościołowi. Miało być widomym znakiem jego uniwersalizmu. Jak Kościół jednakowo przygarnia wszystkie ludy, cesarstwo miało wytworzyć rodzinę równych sobie społeczności chrześcijańskich. Lecz skoro tylko zabrakło wielkiej ,szlachetnej idei, opartej także o giętką kulturę Bizancjum, idei ucieleśnionej w pół Greku Ottonie — w wykonaniu germańskim stało się rychło narzędziem niemieckich nadziei zarówno przeciw państwom jak i przeciw Kościołowi. Jeśli smutne wydarzenia za Cerulariusza, w dużej mierze spowodowane nietaktami i typowo zachodnią (a wtedy zachodni i barbarzyński były to synonimy) ignorancją wysłanników papieża, którzy przekroczyli swoje pełnomocnictwa, doprowadziły do stopniowego zerwania Kościoła wschodniego z zachodnim (co nastąpiło ostatecznie, jak wiemy, w roku 1472): jest to jeden z głównych śmiertelnych grzechów tego tworu. Wikłało ono energię papiestwa, uniemożliwiało pełny rozwój wielu najistotniejszych spraw dla Kościoła. Już choćby życie genialnego św. Grzegorza VII mówi nam dostatecznie, jak wielkim nieszczęściem dla sprawy chrześcijańskiej stało się cesarstwo. Papież ten pragnął zcalenia rozbitego, poszarpanego Zachodu, aby wytężyć wszystkie siły do akcji pojednania z chrześcijanami wschodnimi, a dzieła tego nawet nie zdążył rozpocząć.

Przeciwstawienie się Polski wzmocnionej glorią św. Wojciecha i własną organizacją kościelną cesarstwu było przeczuciem a jednocześnie ujawnieniem i unaocznieniem tego, że tylko Stolica Św. sama jest gwarantką uniwersalizmu chrześcijańskiego, a związek z nią jest źródłem nie tylko Prawdy, wyzwalającej najwyższe potencje duchowe, ale i istotą autentycznej niezawisłości w dziedzinie takiej, która ujarzmieniu nie podlega. Oto, co bije w oczy, jako nieodparte stwierdzenie sprzed 9 i pół wieku, dziś nierównie oczywistsze niż wtedy, a co zmarły Prymas nazwał „ideą świętowojciechową": fakt pełnego chrześcijaństwa z pełnym Kościołem, opartym o opokę - Papieża. Dlatego też wszystkie zaborcze nacjonalizmy dawniejsze i dzisiejsze, dlatego wszystkie materializmy cały swój wysiłek, tak jak komunizm w krajach przez się ujarzmionych, jak i w kraju naszym, kierują na rozluźnienie i zerwanie więzów ze Stolicą Św., z Papieżem.

To też wspomniawszy w tę wielką rocznicę za kard. Hlondem, że przynależność do Kościoła „jest łaską, szczęściem i zaszczytem", zapytajmy się równocześnie jego słowami:

„Czy rozumiemy swe katolickie dostojeństwo? Czy odczuwamy szczęście przynależności do Kościoła Św.? Czy całą duszą kochamy Kościół? Czy szanujemy w sobie święty charakter katolika? Czy dziękujemy Bogu za łaskę powołania do świętej Matki Kościoła? (...) Czy gotowiśmy trwać przy Kościele, jak praojcowie i jak wczorajsi męczennicy, w dobrej i złej doli, w wiernym oddaniu za każdą cenę, mimo wszystko? Czy gotowiśmy w potrzebie stanąć w obronie wiary, świętości i Kościoła? Czy nie kuszą nas sekty, odszczepieństwo, pisma heretyckie, Judaszowe srebrniki?

Więcej, niż inne pokolenia, obowiązuje katolików dzisiejszych posłuch wobec zarządzeń i wskazań Ojca Świętego i Biskupów, na których Opatrzność włożyła ciężar pasterzowania wśród burzy i trudne zadanie wyprowadzenia nawy kościelnej z dziejowej nawałnicy. Poza pomocą Bożą zbawienie jest w zaufaniu do Pasterzy, w karności i posłuszeństwie. — Czy z wiarą i ufnością przyjmujemy rozkazy i zlecenia Stolicy Świętej? Czy katolicy obznajmiają się z wolą swych Biskupów, czy wsłuchują się z uległością i przekonaniem w ich listy pasterskie i odezwy? Czy ufają swym Pasterzom i wodzom duchownym?

Wierni powinni poczuwać się do współodpowiedzialności za losy, honor i działalność Kościoła. Katolikowi nie wolno być nieczułym, lub obojętnym na kościelne sprawy. Jest obowiązkiem wspierać prace Kościoła i brać udział w trudach duchowieństwa".

Albowiem „hetmanką sprawy Bożej ma być Polska i prawdą ma wyzwolić dusze, które uwikławszy się w błędach, przeciw Stwórcy bunt podniosły. Tam, gdzie kacerstwo cześć Królowej wszechświata spustoszyło, Polska ma wznawiać łaskawe Królestwo Jej Niepokalanego Serca. Jubileuszowym wołaniem z gnieźnieńskiej pomroki dziejowej wzywa nas św. Wojciech, byśmy duchowym zmartwychwstaniem i narodową służbą maryjną przyśpieszyli Boże jutro słowiańszczyzny."

Jan Tokarski

*) Artykuł ten ze względów technicznych ukazuje się dopiero w dzisiejszym numerze ŻYCIA. RED

Prośba do Czytelników

DONOSIMY uprzejmie, że najbliższy numer ŻYCIA nie ukaże się. Za to następny z kolei, na Zielone Świątki będzie liczył 20 stron. Cena za egzemplarz w y n i e s i e 2 sh. Nie jest to cena podwyższona, gdyż obejmuje sumę za obydwa numery, gdyby wyszły w swojej kolejności; przeciwnie, ze względu na to, że numer będzie liczył stron 20 a nie 16, cena jest raczej niższa.

Liczymy na Przyjaciół naszego pisma, że pozwolą nam rozprowadzić ten numer w znacznie większym nakładzie. Dlatego prosimy bardzo o odwrotne przesłanie do Administracji zwiększonych zamówień. W numerze tym, wydawanym na trzylecie ŻYCIA i dwulecie Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas znajdzie się szczegółowe sprawozdanie z uroczystości wręczenia Nagród Literackich, ufundowanych przez Ośrodek Veritas w porozumieniu z Misją Katolicką, przy ofiarnym współudziale Czytelników naszego pisma. Zostaną też zamieszczone wyjątki z nagrodzonych i wyróżnionych utworów, a ponadto rzeczy C. Virgila Gheorgiu, G. Greene'a, Fr. Mauriac'a. Z polskich zaś pisarzy i publicystów znajdą Czytelnicy prace J. Bielatowicza, I. M. Bocheńskiego O.P., A. Bronarskiego, M. Czapskiej, J. Jasnowskiego, J. Kisielewskiego, Z. Marynowskiego, A. Poleskiej, M. Szyszko-Bohusza, W. Tarnawskiego, J. Tokarskiej, J. Tokarskiego i in. Numer będzie obficie ilustrowany.

W numerze tym zostanie również ogłoszony k o n k u r s d l a C z y t e l n i k ó w z nagrodami pieniężnymi.

Prosimy bardzo naszych Przyjaciół, aby nam pomogli dotrzeć z tym numerem do jak największej liczby Polaków. Będzie on także nadawał się do propagandy ŻYCIA wśród tych, którzy jeszcze nie są czytelnikami pisma. Jeśli kogo z naszych Przyjaciół stać na to, prosimy bardzo, aby wpłacał odpowiednią kwotę na wysłanie tego numeru swym znajomym w W. Brytanii lub poza nią Prosimy w takich wypadkach o dostarczenie dokładnych adresów.

Mamy nadzieję, że przy nie zawodzącej nigdy pomocy naszych Czytelników interesujący ten numer, w którym znajdzie się upamiętnienie niezwykłego faktu stworzenia na emigracji instytucji Nagród Literackich, rozejdzie się szeroko.

ŻYCIE.

BOGUSŁAW PRZERADZKI

CZOŁG POLSKI SPRZED STU LAT

DAN, jedna z postaci „Róży" Żeromskiego, jest wynalazcą niewidzialnych promieni, przenoszących ogień na odległość, zdolnych niszczyć armie nieprzyjacielskie, wysadzać w powietrze magazyny amunicji, zapalać budynki. W koncepcj Czarowica, głównego bohatera „Róży", ten przełomowy na owe czasy wynalazek ma przynieść Polsce wyzwolenie przez zagładę sił zbrojnych jej zaborców. „Dramat niesceniczny" Żeromskiego kończy się wizją pochłanianej przez płomienie armii moskiewskiej.

Pomysł ognia, przenoszonego niewidzialnie na odległość, wziął Żeromski od inżyniera - Polaka, który właśnie pracował nad takim wynalazkiem, by go sprzedać jednemu z obcych rządów. Do idei wyswobodzenia Polski przez jakieś genialne odkrycia czy ulepszenia techniczne autor „Róży" powraca raz jeszcze w kilka lat później — w swej „Urodzie życia", wydanej w roku 1912; główny bohater tej powieści, Piotr Rozłucki, siły swe poświęca na to, by stać się wielkim lotnikiem - wynalazcą w służbie narodu.

Sama idea nie jest nowa — spotykamy ją już za Wielkiej Emigracji. Przykładu szczególnie interesującego w tym zakresie dostarcza Leon Szadurski w książce swej „Heaven upon Earth", wydanej w Edynburgu w r. 1848, na temat której ukazał się niedawno w ŻYCIU ciekawy artykuł Józefa Jasnowskiego. Książka ta pojawiła się w czasie, kiedy po kilkunastu latach daremnych prób i usiłowań narastać poczęły wśród wygnańców polskich nastroje desperacji i zwątpienia w dotychczasowe drogi działania. Nie przyniósł spodziewanych owoców wielki wysiłek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego związania sprawy polskiej z ruchami demokratycznymi i liberalnymi Europy, by pomogły one do odwalenia grobowego kamienia Polski. Zawiódł udział tylu świetnych wojskowych polskich w ruchach rewolucyjnych różnych krajów; tragicznie skończyły się wyprawy partyzanckie Zaliwskiego i Konarskiego, — później zaś powstanie krakowskie roku 1846. Nie dawała też widocznych wyników akcja ks. Adama Czartoryskiego, zakrojona na europejską skalę, wielka swą koncepcją wyzwolenia nie tylko Polski, ale i całej Europy Środkowo-Wschodniej.

Nową falę nadziei miała przynieść „wiosna ludów" r. 1848 i wisząca jakoby w powietrzu wojna Prus przeciw Rosji; nadziejom tym uległ nawet sędziwy książe Adam, liczący już wówczas lat prawie 80, ruszając do Berlina, by tam zająć stanowisko wobec oczekiwanych wydarzeń. Rok 1848 poprzedzony został wszakże falą rozczarowań i zawodów. Nawet te rozczarowania jednak nie zdołały podciąć owego napięcia patriotyzmu i niezmożonej zdawałoby się siły żywotnej, jaka cechowała najlepsze żywioły emigracji, — tylko, że w miejsce dotychczasowych metod zbiorowego działania, kierowanego z góry, rodzić się poczyna coraz więcej indywidualnych pomysłów i idei, niekiedy liczących się z istniejącymi warunkami i możliwościami, niekiedy desperackich czy wręcz fantastycznych, często wkraczających w sferę mistyczną. Na każdym z nich wyciśnięte jest piętno umysłu i ówczesnego stanu psychicznego ich twórcy.

Jedni widzą drogę wyzwolenia Polski w szerzeniu idei moralnych, które by położyły kres niewoli i uciskowi. Inni — znalazł się wśród nich w pewnej chwili i Mickiewicz — pragną dojść do takiej indywidualnej koncentracji myśli i woli, by przez samo jej promieniowanie, drogą niejako hypnozy, zmusić ciemięzców Polski — przede wszystkim cara Mikołaja — do wypuszczenia z rąk ich ofiary. W tymże samym czasie rozkwita mesjanizm i towianizm. Nie brak jednak także pomysłów wyswobodzenia kraju środkami natury bardziej materialnej. Generał Bem — człowiek, przy całym swym polocie dowódcy, obdarzony umysłem ścisłym i zdyscyplinowanym — opracowuje w swym skromnym pokoiku w londyńskim Camden Town projekt stworzenia z emigracji jednej wielkiej, doskonale wyszkolonej kadry wojskowej, która by w odpowiednim momencie przedostała się do Polski, rozproszyła planowo po jej obszarze i skupiła dokoła siebie ruchy powstańcze we wszystkich dzielnicach kraju. Zaś Leon Szadurski, skromny podporucznik artylerii konnej wojsk Królestwa Kongresowego, zagnany wypadkami pod dżdżyste niebo Szkocji, marzy o wyswobodzeniu Polski przez potężną machinę, której opis w jego książce przypomina zupełnie nowoczesny czołg, wprowadzony w użytek — jak wiadomo — dopiero w siedemdziesiąt lat później.

A IMIĘ JEGO CZTERDZIEŚCI I CZTERY...

Machina ta — czytamy na stronie 44 książki — wynaleziona została w r. 1840 przez pewnego Polaka, rodem z Warszawy. „Jest ona potężnych rozmiarów i szydzić może z kilku nawet okrętów wojennych. Popędzana jest parą i wymaga do obsługi czterdziestu czterech mężczyzn. Może ona poruszać się przez pola i małe rzeki, nie potrzebując dróg ani mostów. Może się posuwać przez ogrody lub plantacje drzew, zgniatając je, a także poprzez małe wioski, torując sobie w ten sposób drogę. Może podjeżdżać w górę i zjeżdżać z nachyleń o kącie 20 stopni bez zwalniania chyżości, która — jeśli wolna — wynosi pięćdziesiąt mil angielskich na godzinę. Machina wystawiona może być przez cały dzień na kanonadę tysiąca dział bez poniesienia najmniejszych uszkodzeń, — i zdolna jest zniszczyć milionową armię w ciągu pół dnia... Koszt jej budowy wyniesie 400.000 funtów. Skoro zostanie ukończona bez przeszkód, zbudowanie innej będzie niemożliwe, gdyż w razie potrzeby machina odbyć może drogę z Petersburga do Paryża w ciągu dwudziestu czterech godzin".

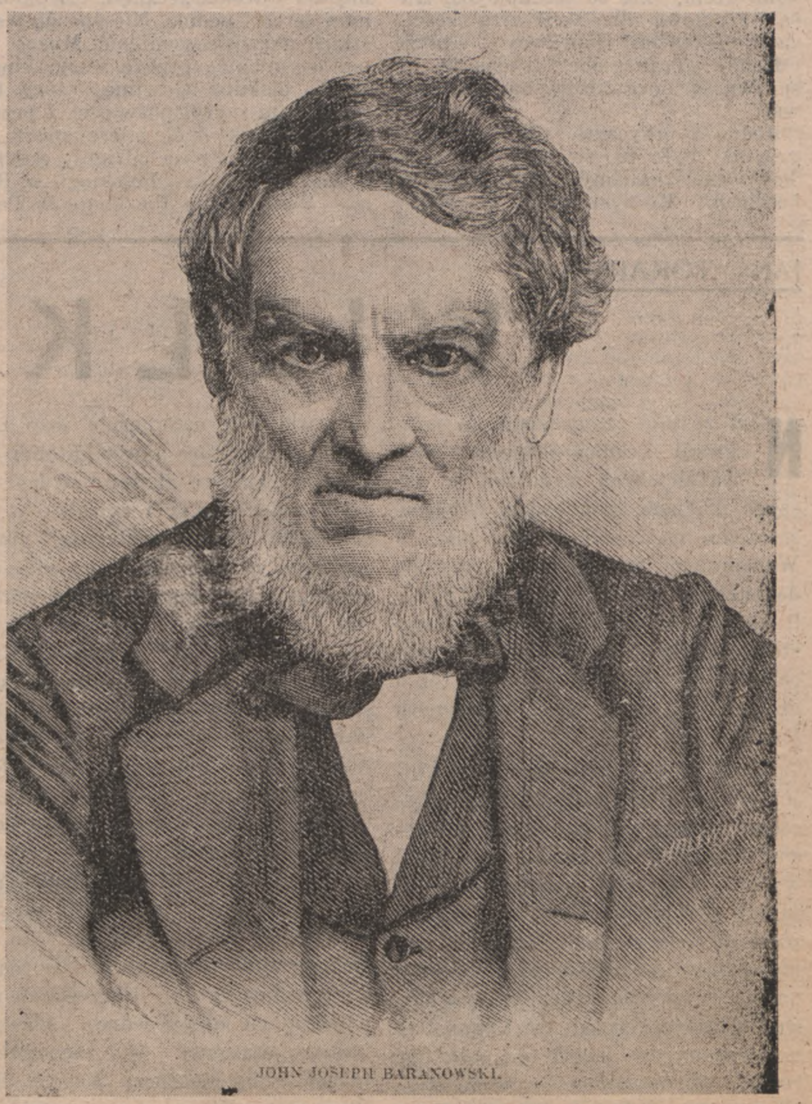
W opisie powyższym uderza liczba czterdziestu czterech ludzi do obsługi tego czołga sprzed stu lat, — niewątpliwie echo Improwizacji Mickiewicza, którego Szadurski był wielbicielem (na jednej z dalszych stron jego książki znajdujemy m.in. pierwsze strofy „Ody do Młodości" i „Farysa" w dosłownym tłumaczeniu angielskim). Kto wie nawet, czy Szadurski z tych samych względów nie umieścił opisu machiny na stronie 44 książki, choć to rozrywa w tym miejscu jej konstrukcję. Niemniej przypuszczać wolno, że opis machiny oparty jest na jakimś prawdziwym, choć może niewykończonym wynalazku. Sam Szadurski, jak wynika z jego dziełka, interesował się mechaniką; na str. 88 - 89 omawia wynaleziony przez siebie hamulec kolejowy, pozwalający na natychmiastowe zatrzymanie pociągu, i załącza starannie wykonany rysunek. Natomiast przy opisie gigantycznego czołgu unika świadomie wszelkich szczegółów; nie wiemy przede wszystkim, w jaki sposób owa machina miała pokonywać w swym posuwaniu się wszystkie wymienione wyżej przeszkody terenowe. W każdym razie nie mógł to być wóz na zwykłych kołach. Być może tajemniczy wynalazca, którego nazwiska Szadurski nie wymienia, miał już na myśli taśmę stalową, podobną do tej, w jaką wyposażone są czołgi nowoczesne. Byłoby to odkrycie na owe czasy niezwykłe, niemniej dokonał go, jeśli chodzi o zasadę, niemal równocześnie inny Polak, znakomity filozof i matematyk Józef Maria Hoene Wroński. W memoriale, przedstawionym francuskiemu ministrowi robót publicznych, proponował on reformę dotychczasowego systemu lokomocji przez zastosowanie do lokomotyw i wagonów kolejowych, a także innych pojazdów, tak zwanych „kół ulepszonych" („roues accomplies"), zaopatrzonych szynami ruchomymi, — przy równoczesnym zupełnym zniesieniu zwykłych szyn kolejowych, kładzionych na ziemi (memoriał ten p. t. „Urgente réforme des chemins de fer de toute la locomotion terrestre" ukazał się drukiem w Paryżu w r. 1844). Z projektów tych wówczas nikt nie skorzystał i dopiero pod koniec Pierwszej Wojny Światowej wprowadzona została w życie koncepcja wozu pancernego, poruszającego się na taśmach gąsienicowych, tj. ruchomych szynach, — wozu, który tak bardzo zrewolucjonizował całą technikę wojenną.

Koszta zbudowania machiny w wysokości 400.000 funtów pragnie Szadurski pokryć przez subskrypcję wśród społeczeństwa brytyjskiego. Apel swój kieruje przede wszystkim do przyjaciół Polski, wyliczając imiennie kilkadziesiąt osób głównie spośród działaczy „Literary Association of the Friends of Poland" w Londynie oraz tych osób, które wpłaciły subskrypcję na poprzednią jego książkę („An Epitome of the History of Poland", 1843). Z drugiej strony książka Szadurskiego pełna jest ostrych ataków na Francję i Anglię, którym zarzuca zdradę i opuszczenie Polski, sprzeniewierzenie się postanowieniom Kongresu Wiedeńskiego z roku 1815, podpisanym także przez oba te mocarstwa, oraz obojętność wobec świeżego aktu zaboru Wolnego Miasta Krakowa przez Austrię. Oskarża je także o degradowanie emigrantów polskich do roli wynędzniałych helotów. Cała książka Szadurskiego stanowi w ogóle osobliwą mieszaninę wywodów technicznych, społecznych, politycznych, ujętych praktycznie i rzeczowo, z wybuchami niepohamowanej pasji i rozpaczy, które świadczą, jak nieznośne brzemię uciskało dusze i ustrój nerwowy tych wygnańców.

„Bracia — pisze — popatrzcie najpierw na Francję, która niby Judasz ucałowała Polskę, by ją zdradzić, a później tak jak on umyła ręce od świętej sprawy. Jej rząd republikański odmówił nawet niewielkiej ilości broni palnej, o jaką prosiła garstka wygnańców, pragnących pomóc ostatniemu powstaniu polskiemu! Popatrzcie na jej bezwstydnego koguta, ongiś piejącego zuchwale ponad Alpami, Pirenejami i Górami Karpackimi, ponad Odrą, Dunajem, Dnieprem i Wołgą; jakże on dziś tchórzliwie, z ogonem zanurzonym w Sekwanie, drży przed północnym niedźwiedziem, nie śmiejąc zagrzmieć donośnie w surmy bojowe w poranek pełen chwały..."

Podobne epitety kieruje Szadurski pod adresem „lwa brytyjskiego".

„Słuchajcie pisze dalej, jak Anglia drze się niczym niemowlę z powodu swych 140.000 funtów (wydanych na uchodźców polskich)... jak utalentowany „Times" cieszy się na myśl o przewidywanym wydarciu tych marnych dziesięciu szylingów tygodniowo (za które nie można by wygodnie utrzymać nawet psa angielskiego) ludziom, zgarbionym przez wiek, wyniszczonym przez atmosferę, czującym obrzydzenie do datków, zbieranych przy pomocy poczwarnych plakatów, jakie rozwiesza się po ulicach, — ludziom, co najgorsze, gnieżdżącym się po obskurynych poddaszach..."



JAN JÓZEF BARANOWSKI

uczestnik powstania 1830/31, ekonomista i wynalazca, zmarły w Londynie w r. 1888

Wbrew obawom Szadurskiego rządowe zasiłki angielskie dla emigrantów polskich nie zostały cofnięte, — a kogut galijski i lew brytyjski pokazały w kilka lat potem w kampanii krymskiej 1855 r., że nie zawsze boją się północnego niedźwiedzia, choć dla sprawy polskiej niczego wówczas nie zrobiły. Gorzej, że uwagi Szadurskiego, dotyczące stosunku do emigrantów (szczególnie datków, zbieranych na ich korzyść), nie mogły wywołać dobrego wrażenia na tych działaczach angielskich i szkockich z lordem Dudleyem Stuartem na czele (Szadurski nie szczędzi im zresztą pochwał), którzy wytężali wszystkie siły, by dopomóc wygnańcom polskim w ich ciężkim położeniu i działać, gdzie się tylko da, na rzecz sprawy niepodległości Polski. Nie dziw, że sprawozdanie Tow. Literackiego Przyjaciół Polski za rok 1849 zawiera tylko suchą notatkę o pojawieniu się książki „Heaven upon Earth" bez zwykłych pochlebnych komentarzy i bez jakiejkolwiek wzmianki o apelu „pożyczkowym" Szadurskiego.

W zakończeniu swej książki Szadurski grozi całej Europie ponurymi następstwami, jeśli nie pomoże ona Polsce do odzyskania wolności. Niszcząca machina — zapowiada — może wpaść w ręce polskiego Robespierre'a.

„Polska była zawsze zwycięzcą szlachetnym i wspaniałomyślnym wobec nieprzyjaciół, chętnie i z całą gotowością niosła pomoc swym sąsiadom. Nigdy nie grabiła ani nie uciskała, ale za jej uczciwe zachowanie się i bohaterską dzielność cała Europa odpłaciła się jej najohydniejszą zdradą i łupiestwem. Teraz jednak Polska będzie biła i karała i — podobnie jak Anglia, która skazała Chińczyków na zapłacenie kosztów wojennych — skaże Europę na odszkodowanie haniebnych spustoszeń... Zda mi się, że widzę człowieka kierującego tą machiną, — człowieka z gniewnym wzrokiem, rozognioną twarzą i sercem pałającym zemstą. Któż wówczas będzie zdolny przeciwstawić się jego sile, — któż potrafi pohamować jego furię? Europo, drżyj!"

Rosja, Austria i Prusy — oświadcza Szadurski — zmuszone będą zapłacić Polsce po 300.000.000 funtów szterlingów, a Anglia i Francja, za swe współuczestnictwo i za pogwałcenie Traktatu Wiedeńskiego po 200.000.000 funtów.

„Peace will reign in Warsaw! — gdyż połowa Europy może być martwa! Europejczycy, pomyślcie i wybierzcie sprawiedliwość lub śmierć".

Tym okrzykiem zemsty kończy się książka pogrążonego w desperacji wygnańca, który — jak świadczy jego książka — związany był wszystkimi węzłami z Zachodem, nie mógł jednak znieść niewoli i umęczenia swej ojczyzny. Od tej chwili głucho jest o Szadurskim — zmarł pewno gdzieś w zapomnieniu, gdyż śmierć jego nie wywołała odgłosów nawet w polskich kołach emigracyjnych. Wynalazek, o którym pisał, nie ujrzał w ogóle światła dziennego, — być może nigdy nie wyszedł poza stadium samego ogólnikowego pomysłu.

WYNALAZCY POLSCY W W. BRYTANII

Szadurski, jak widać z treści jego książki, nie był właściwie wynalazcą „z profesji". Objawiał zainteresowania o charakterze uniwersalnym, podobnie jak — jeśli wolno użyć tego porównania — o tyle większy od niego intelektem Hoene Wroński, który przy całej rozległej skali swych prac umysłowych zajmował się także mechaniką i praktycznymi ulepszeniami technicznymi. Wśród emigrantów polskich we Francji i w Wielkiej Brytanii znajdowali się jednak ludzie, którzy systematycznie poświęcali się wynalazkom, głównie ulepszeniom technicznym różnego rodzaju, — choć na życie musieli przeważnie zarabiać w inny sposób.

Sprawozdania Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski w Londynie zawierają z tego zakresu sporo ciekawych danych. Sprawozdanie za r. 1852 notuje z uznaniem, że na wielkiej wystawie powszechnej, która roku poprzedniego odbyła się w Londynie i której ośrodkiem był Crystal Palace, reprezentowani byli w charakterze wystawców także emigranci polscy, w tym kilku byłych oficerów wojsk Powstania Listopadowego. Jeden z tych uchodźców, Brona-Broński, otrzymał złoty medal za „nieporównane okazy jedwabiu", będące owocem jego specjalnych metod hodowli jedwabnika, nad którymi Broński pracował przez szereg lat. Feliks Jastrzębski, b. porucznik artylerii rodem z Wilna, który na emigracji wsławił się w całej Europie jako fabrykant fortepianów w Brukseli, dostał wielki medal (Prize Medal) za wystawiony przezeń fortepian własnej produkcji i pomysłu. To samo odznaczenie przyznano Janowi Józefowi Baranowskiemu za pomysłowy wynalazek aparatu, drukującego w różnych kolorach bilety kolejowe i zarazem liczącego je, — nadto za maszynę „wyborczą", przyjmującą i obliczającą głosy wyborców w sposób niemal uniemożliwiający wszelkie fałszerstwo.

Tzw. Council Medal przyznano znakomitemu zegarmistrzowi Antoniemu Patkowi z Genewy, który wystawił kolekcję swych zegarków i chronometrów. Warto tu zaznaczyć, że zegarki Patka przez lat kilkadziesiąt nieprzerwanie cieszyły się wielką renomą na całym świecie, — sama firma zaś istnieje bodaj do tej pory.

Emil Dunin, w czasie powstania podporucznik 2 pułku piechoty, dostał również „Council Medal" za niezwykły mechanizm — rodzaj stalowego „robota" w postaci poruszającego się człowieka. Jerzy Ręczyński, b. kapitan słynnego pułku „czwartaków", odznaczony złotym krzyżem „Virtuti Militari", w owym czasie nauczyciel w Stirling w Szkocji, wystawił model lokomotywy i mostu wiszącego własnego pomysłu.

Z poprzednich sprawozdań Tow. Literackiego Przyjaciół Polski wiemy, że wynalazkami mechanicznymi zajęty był już od szeregu lat; sprawozdanie za r. 1840 wylicza w tym zakresie: przenośne biurko dla artystów i mierniczych, lampę z jednym palnikiem, dającą dość światła dla 6 robotników, oraz maszynę do wbijania ogrodzeń i podnoszenia dużych ciężarów; maszyny takie Ręczyński konstruował sam. Był to ten sam Ręczyński, który później przez długie lata wykładał sztukę fortyfikacji, matematykę i języki w Londonderry w północnej Irlandii. Na starość zawładła nim szczególna „hobby": odczytywania napisów na kamieniach hieroglificznych, znajdujących się w British Museum, — w tym zakresie jednak, jak czytelnikom ŻYCIA już wiadomo, wykazał mniej talentu. Ręczyński zmarł w r. 1899 w wieku lat 96 jako ostatni w Wielkiej Brytanii uczestnik Powstania Listopadowego.

Do wynalazców swego rodzaju zaliczyć należy również kapitana Feliksa Napoleona Żabę (1803—1885), postać bardzo sympatyczną, dobrego nauczyciela, publicystę i mówcę — nikt tak jak on nie potrafił przemawiać na zebraniach do Anglików o sprawie polskiej —, słabego za to poetę. Od r. 1842 Żaba przez lat kilkanaście prowadził w Londynie przy Sloane Street nr. 104 kursy historii specjalnym systemem mnemotechnicznym, użyczonym mu przez gen. Bema, który sam miał wybitną żyłkę do wynalazków różnego typu. Żaba

po powstaniu 1863/64 r. — podczas którego przemawiał na rzecz Polski na licznych meetingach w całej Anglii — udał się w długą tułaczkę dokoła świata. Był profesorem, a nawet rektorem uniwersytetu w Buenos Aires, spędził pewien czas w Australii, Tasmanii i Nowej Zelandii — i wszędzie miewał wykłady z zakresu historii i literatury polskiej. W późnym już wieku powrócił do kraju; zmarł w Zbylitowskiej Górze w Małopolsce zachodniej w wieku lat 82. Jak bardzo przywiązany był do metody mnemotechnicznej, którą rozwinął i ulepszył, świadczy fakt, że już po powrocie do Polski ogłosił drukiem zasady tego systemu w języku polskim („Metoda ułatwiająca naukę historii powszechnej“ z dwiema mapami, tablicą i z pudełkami kryształków różnokolorowych, Kraków 1873, nakładem autora).

Na pokrewnym polu próbował swych talentów wynalazczych znany już czytelnikom ŻYCIA major Bartłomiej Beniowski (1800—1867), również emigrant w Anglii, wynalazca „frenotechniki“, uproszczonej pisowni oraz metody druku do użytku niewidomych, — człowiek zresztą o nieprzyjemnym, awanturniczym usposobieniu.

W WALCE ZE ZŁYM LOSEM

W innej dziedzinie odznaczył się Jan Józef Baranowski (1805—1886), wymieniony już wyżej w związku z wystawą londyńską, — z zawodu finansista, postać niewątpliwie bardzo interesująca. Urodził się w Śmiłowicach powiatu ihumeńskiego Ziemi Mińskiej, był synem rotmistrza Marcina Baranowskiego. Na uniwersytecie wileńskim, gdzie najpierw studiował filozofię, uzyskał stopień kandydata praw, potem zaś otrzymał od ówczesnego prezesa Banku Polskiego w Warszawie, Ludwika Jelskiego, zajęcie w tym banku i zwrócił od razu powszechną uwagę swymi zdolnościami. W chwili wybuchu powstania był podsekretarzem Banku Polskiego w biurze korespondencji zagranicznej. Pierwszego dnia powstania, 29 listopada 1830, pośpieszył w szeregi walczących, wziął udział w wielu bitwach i uzyskał stopień porucznika 5 pułku ułanów. Przeszedłszy po upadku Warszawy wraz z korpusem gen. Ramorino granicę austriacką, znalazł się wkrótce potem jako emigrant we Francji. Jego dawny protektor Ludwik Jelski, również emigrant, założył w Paryżu bank pod firmą „Jelski, Dussard et Co“, w którym Baranowski objął stanowisko kasjera. Kiedy bank ten upadł, Baranowski pracował kolejno jako rachunkowiec lub kontroler w różnych miastach francuskich, — najdłużej w charakterze inspektora rachuby kolej Paryż—Lyon, mieszkając wówczas przeważnie w Lyonie. W r. 1848 wycofał się ze służby i odtąd zaczyna systematycznie pracować nad wynalazkami, głównie z dziedziny kontroli i rachunkowości. W r. 1849 na wystawie powszechnej w Paryżu odznaczony został medalem za maszynę do kontroli rachunków, — w dwa lata później prezentuje dwa inne, wyżej już wspomniane, wynalazki na wystawie londyńskiej. Wynaleziony przez Baranowskiego system automatycznej sygnalizacji kolejowej zastosowany został z powodzeniem na niektórych liniach kolejowych francuskich i włoskich.

Obok tych i innych wynalazków Baranowski opracowywał różne projekty finansowe, z których najważniejszy był plan spłaty pięciomiliardowego odszkodowania, jakie zwycięskie Niemcy nałożyły na Francję po wojnie r. 1870/71. Plan ten był tak doskonały, że rząd francuski wprowadził go w życie z niewielkimi tylko zmianami. Ówczesny minister finansów Powyer-Quertier ograniczył się jednak, mimo ciężkiego położenia materialnego Baranowskiego, do wyrażenia mu podziękowania. Rozgoryczony Baranowski opuścił w r. 1872 Francję i osiadł w Londynie, gdzie spędził ostatnich kilkanaście lat swego życia. Przez lat 12 był pomocnikiem sekretarza Tow. Literackiego Przyjaciół Polski, Karola Szulczewskiego, pracując w siedzibie towarzystwa przy Duke Street, St. James's, 10. Po śmierci Szulczewskiego w r. 1884 objął na dwa lata jego funkcje, które w r. 1886 przekazał nowemu sekretarzowi Edmundowi Naganowskiemu, zdolnemu publicyście i pisarzowi, rodem z wielkopolskiego Gostynia.

Drobne uposażenie, jakie Baranowski otrzymywał od „Literary Association of the Friends of Poland“, nie mogło mu zapewnić utrzymania, — toteż mimo podeszłego wieku gorączkowo próbował dorabiać piórem. W r. 1879 ogłosił w 1.000 egzemplarzach „Vade-mecum de la langue française“, którego nakład został prawie wyczerpany. W pięć lat potem, w r. 1884, pojawił się jego „Anglo-Polish Lexikon“, który jednak nie wytrzymał konkurencji z rozpowszechnionym już bardzo słownikiem Aleksandra Chodźki. Pod sam koniec życia Baranowski opracował spis swych wynalazków i opublikowanych prac p.t. „Inventions mécaniques et travaux litteraires de J. J. Baranowski“ (Paryż, 1886).

Bieda mu ciągle zaglądała w oczy. Już w sprawozdaniu Tow. Przyjaciół Polski za r. 1880 umieszczony został przez przyjaciela swego Szulczewskiego (pod inicjałami J. B.) na liście b. powstańców polskich, nie posiadających środków do życia i potrzebujących pomocy. Tę samą wzmiankę znajdujemy w sprawozdaniach towarzystwa za lata następne.

Baranowski zmarł w Londynie 12 marca 1888 roku, przeżywszy lat 83. Praca całego życia nie zdołała uchronić go od ubóstwa.

Zamieszczony obok portret jego, wykonany przez Holewińskiego, znajdował się przy życiorysie Baranowskiego, który ukazał się w r. 1880 najpierw w warszawskich „Kłosach“ a później w tłumaczeniu angielskim jako mała broszurka w Londynie. Z portretu tego wyziera twarz naznaczona goryczą doświadczeń, zarazem jednak zaciętą wolą walki ze złym losem aż do końca.

Bogusław Przeradzki

STANISŁAW PAŁECKI

NOWE DROGI POEZJI ŻYWEJ

TEATR POLSKI im. Słowackiego jako pierwszą swoją premierę dał przed paru miesiącami przedstawienie syntetyczne, zestawione z kilku fragmentów utworów dramatycznych wielkiego poety, którego imię przyjął za swoje. Wystawiając „Listy do matki“ Juliusza Słowackiego, teatr emigracyjny uczynił pierwszy krok w kierunku rapsodycznej interpretacji wielkiej poezji narodowej, szukania nowych dróg dla żywego słowa. Nie wchodząc tu głębiej w ocenę tego artystycznie udanego posunięcia, trzeba podkreślić, że droga, na którą wejść próbowano, wydaje się słuszna.

Niestety, interesujący montaż półrapsodyczny L. Pobóg-Kielanowskiego, który udało mi się obejrzeć na prowincji, zawiódł kasowo a w Londynie będzie mógł być pokazany — z powodu braku odpowiedniej sali — dopiero teraz 13 maja br *) Po siedemnastu zaledwie przedstawieniach w hostelach i szpitalach kierownictwo Teatru musiało wycofać się z tej pięknej imprezy.

Czy wobec tego należy zaniechać dalszych prób sięgania do najczystszych źródeł polskiego słowa i iść po linii komercjalizacji teatru na emigracji?

Zanim odpowiemy sobie na to pytanie, warto, choćby w najogólniejszych zarysach, zapoznać się z bogatymi już dzisiaj dziejami krakowskiego Teatru Rapsodycznego dr Mieczysława Kotlarczyka, którego praca od kilku lat idzie w tym samym kierunku, w jakim zmierzała pierwsza nieśmiała próba Kielanowskiego i jego londyńskiego zespołu.

Teatr Rapsodyczny powstał pod okupacją niemiecką w Krakowie. przygotował i wystawił konspiracyjnie 7 premier (21 przedstawień), rozpoczynając swą pracę od „Króla Ducha“ Słowackiego. Pierwsza tajna premiera odbyła się w mieszkaniu pp. Dębowskich przy ul. Komorowskiego, a pierwsze przedstawienie publiczne w sali kina „Wolność“ w Krakowie w dniu 22 kwietnia 1945 roku. W latach powojennych Kotlarczyk wystawił w Krakowie, Warszawie, Wrocławiu i Łodzi dalsze 18 prapremier, dając łącznie około 800 przedstawień publicznych.

W wydanej przed półtora rokiem broszurze dokumentarno - informacyjnej dr M. Kotlarczyk, założyciel i spiritus movens nowego teatru, określa go jako teatr imaginacyjny, „stający się, dziejący i rozgrywający się w nieograniczonych płaszczyznach i wymiarach wyobraźni poetyckiej“ — jako „teatr polskiego wnętrza“. Zdaniem Kotlarczyka, Gutenberg zmufikował i „utrumnił“ słowo. Zabił je, bo bezpowrotnie zamknął czasy homeryckie wędrownych poetów, średniowiecznych francuskich trubadurów i truwerów, niemieckich Minnesingerów i Meistersängerów, skandynawskich bardów i słowiańskich rapsodów, lirników i gęślarzy. Zadanie zawrócenia z tej drogi — przywrócenia słowu jego bezpośredniości, jego życia i piękna, a w narodzie należnego mu kultu — spada na ludzi teatru dzisiejszego. Podjął je Teatr Rapsodyczny, którego nazwa wskazuje na spójnię i związek z poematami bohaterskimi, w literaturze polskiej nazywanymi przez Słowackiego i Wyspiańskiego rapsodami. Zdaniem Kotlarczyka nazwa ta ujawnia istotne cele zespołu, który chce być roznosicielem i głosicielem żywego słowa i „żywym słowem pukać do serc narodu“.

Postawę ideową i etyczną zespołu Kotlarczyka najlepiej ujął on sam we wspomnianej broszurze, pisząc, że u podstaw rzemiosła rapsodycznego leżą: przekonanie o nierozłączności pojęcia piękna od pojęć dobra i prawdy; kult dla wielkiej narodowej i światowej sztuki i ścisły związek z jej najświetniejszymi tradycjami, wreszcie obowiązek postępu i ciągłego doskonalenia sztuki teatru, wypracowywania coraz pełniejszych jej form, stwarzania dla niej nowego, oryginalnego stylu rapsodycznego.

Styl ten (cytuję dalej wypowiedź Kotlarczyka) przejawia się w dramaturgii — przez prapremierowość, kondensację i ekonomię; w inscenizacji — przez klasycyzującą umowność i imaginacyjność; w scenografii — przez przewagę elementu konstrukcyjnego nad ornamentacyjnym i przez fragmentaryczność w grze scenicznej — przez formy skrótowe, uproszczenia, aluzje, metafory (przy czym sam aktor jest też metaforą: nie tyle jest daną postacią, ile daje o niej wyobrażenie, głównie za pomocą słowa) i wreszcie w recytacji przez rytmikę, melodykę, synchronizację z muzyką, patos artystyczny (nie koturnowy), ton oratoryjny przez unowocześnienie antycznej chorei.

Sądząc z licznych wypowiedzi krytyki krajowej, teatr Kotlarczyka konsekwentnie trzyma się powyższych wytycznych i zdołał już osiągnąć własny styl, który zresztą stale jest doskonalony w ciągłym poszukiwaniu postępu i silniejszego wyrazu.

W okresie okupacji rapsodycy wystawili „Króla Ducha“ i „Samuela Zborowskiego“ Słowackiego, „Pana Tadeusza“ Mickiewicza i syntetyczne prapremiery Norwida, Kasprowicza i Wyspiańskiego. Z powodu braku krytyk z tego okresu o przedstawieniach tych niewiele można powiedzieć.

Pierwszą jawną premierą w roku 1945 był montaż tekstów z „Grażyny“, ‚Konrada Walenroda‘ i ‚Zawiszy Czarnego‘ (Słowackiego). Część pierwsza mówiła o grozie Krzyżactwa, część druga pokazywała zmagania z niemczyzną przez walenrodyzm, wreszcie część trzecia dawała obraz grunwaldzkiego triumfu rycerskiej Polski. Prapremiera ta nosiła tytuł „Grunwald“. Następnie w tymże roku wystawiono ‚Pana Tadeusza‘, ‚Beniowskiego‘ ‚Hymny‘ Kasprowicza (w trzech aktach: piekło — hymn ‚Święty Boże‘, czyściec — ‚Dies Irae‘, ‚Maria Egipcjanka‘ i ‚Judasz‘, raj — ‚Moja pieśń wieczorna‘, ‚Salve Regina‘, ‚Św. Franciszek z Asyżu‘), ‚Bajkę‘ — utwory romantyczne i młodopolskie: Mickiewicz, Staff, Słowacki, Rydel, Tetmajer; potem ‚Noc Wigilijną‘ (polskie misterium o Bożym Narodzeniu — ‚Złota Czaszka‘, ‚Wesele‘, wiersze Mickiewicza, ‚Chłopi‘ Reymonta — wszystko powiązane muzyką Chopina, której teatr używa często i w umiejętny sposób).

W roku 1946 wystawił Kotlarczyk najpierw syntetyczny rapsod o Kościuszce z tekstami Rostworowskiego, Nowaczyńskiego, Reymonta i Bogusławskiego, potem ‚Wielkanoc‘ (montaż fragmentów ‚Judasza‘ Rostworowskiego i ‚Akropolis‘ Wyspiańskiego), ‚Sielankę‘ (widowisko ludowe zmontowane z ‚Sobótki świętojańskiej‘ Kochanowskiego, ‚Wiesława‘ Brodzińskiego, ‚Żeńców‘ Szymonowicza, ‚Pastorelli księżycowej‘ Karpińskiego, ‚Wesela‘ Wyspiańskiego i ‚Chłopów‘ Reymonta); „Bagnet i wiersz“ (rapsod o żołnierzu: Baliński, Braun, Broniewski, Gałczyński, Huszcza, Jastrun, Rymkiewicz i Tuwim), wreszcie humor staropolski, ujęty w syntetyczne widowisko pt. ‚Roskosz a krotofila“ złożone z utworów Pszonki, Paska, Reja, Kochanowskiego, Naruszewicza i Krasickiego. Ponadto w roku 1946 wystawili rapsodycy „Króla Ducha“ w nowej, znacznie wzbogaconej inscenizacji.

W roku 1947 pokazano „Samuela Zborowskiego“ w nowej inscenizacji, ‚Rapsody‘ (tryptyk o śmiałości, świętości i wielkości, zestawiony z tekstów ‚Króla Ducha‘ i ‚Wesela‘) oraz ‚Dialogi miłości‘ Norwida.

Rok 1948 przyniósł ‚Eugeniusza Oniegina‘ Puszkina (180 przedstawień do końca roku 1949), ‚Lorda Jima‘ Conrada (o tej inscenizacji pisał Janusz Jasieńczyk w numerze -conradowskim „Wiadomości“), a rok 1949 nowe opracowanie ‚Pana Tadeusza‘ (160 przedstawień) i nowe ujęcie ‚Beniowskiego‘ (w związku z rokiem Słowackiego).

Jak widać z powyższego zestawienia, Teatr Rapsodyczny obraca się w kręgu wielkiej literatury polskiej i światowej. Wystawienie „Lorda Jima“ było wielkim wydarzeniem i stało się bodaj najciekawszym artystycznie osiągnięciem nowego stylu teatralnego.

Z początku krytyka krajowa przyjęła teatr dość chłodno. Rapsodycy grali często przy prawie pustej widowni. „Twórczość“ nazwała nowy teatr „aerolitem z innej planety“, władze państwowe odmawiały subsydiów. Natomiast prasa katolicka poparła z miejsca nową imprezę. Entuzjastycznie pisał o prapremierach Kotlarczyka Braun, Kudliński, Jerzy Zawieyski, Stanisław Pigoń. Pozytywnie odnieśli się do nowych poczynań niektórzy pisarze mniej lub wcale nie związani z pismami katolickimi: Bohdan Ostromęcki („Warszawa“), M. Piechal („Dziennik Łódzki‘), W. Horbacki, T. Kwiatkowski, W. Żukrowski, Teofil Trzciński i inni. Po jakimś czasie złagodniał nieco nieprzychylny kurs oficjalny wobec teatru i bodaj że przyznano mu jakieś subsydium.

Choć ostatnio o Teatrze Rapsodycznym prawie nie słychać, jest rzeczą pewną, że w ubiegłym pięcioleciu przełamał on wszystkie początkowe trudności, zjednał sobie entuzjastyczną publiczność i rozwinął własny styl teatralny. Czekają go niewątpliwie dalsze przeszkody do pokonania: w końcu lutego Jaszcz ogłosił w „Trybunie Ludu“ artykuł pt. „Co z nim zrobić?“. Ton tej wypowiedzi nie zdradza entuzjazmu czynników reżymowych dla Kotlarczyka.

Warto zaznaczyć, że zespół rapsodyczny, który w roku 1941 składał się z kilku zaledwie osób (Kotlarczyk, Maria Michałowska, Krystyna Dębowska - Ostaszewska i Tadeusz Ostaszewski) rozrósł się w latach 1945 — 1949 o dalszych 19 osób z czego 7 przypada na przyjęty w ciągu ostatnich 8 miesięcy młody narybek aktorski.

Interesując się od dawna poczynaniami Teatru Rapsodycznego, zadawałem sobie pytanie, czy awangardowa działalność tego zespołu znajduje pokrycie w jakimś głębszym nurcie potrzeb europejskiego odbiorcy poezji i czy ma jakieś analogie w innych krajach europejskich. Okazuje się, że tak. Wprawdzie nigdzie tęsknota do odrodzenia żywego słowa nie znalazła tak potężnego i śmiałego wyrazu i nigdzie — o ile mi wiadomo — nie doszło do powstania świadomej grupy artystycznej stawiającej sobie cele podobne, ale istnieją dowody, że prąd ratowania poezji od zalewu komercjalizacji i druku zaczyna przebijać tu i ówdzie. Oto parę przykładów.

W styczniu br. aktor i reżyser francuski Jean Mercure dał w londyńskim „Torch Theatre“ serię recytalów pt. „L' art du troubadour en 1950“. Bardzo indywidualna sztuka recytatorska Mercure'a ogranicza się do słowa i bardzo umiarkowanego gestu. Świadomie nawiązuje on do tradycji średniowiecznych poezji francuskiej. W reżyserii swych własnych spektaklów posługuje się — podobnie jak krakowscy rapsodycy — grą świateł oraz fortepianem, który nie jest tu pojmowany jako akompaniament, lecz jako twórczy udział dźwięku w wydobywaniu rytmicznych, nastrojowych i obrazowych walorów poetyckiego słowa (w występach londyńskich pianistka Germaine Mounier-Mercure operowała utworami Poulenca, Ravela, Debussy'ego, De Falli i Bacha).

W marcu b.r. ukazała się antologia poezji angielskiej, opracowana przez Richarda Church specjalnie pod kątem recytacji i głośnego czytania i poprzedzona szkicem tegoż pisarza, wprowadzającym czytelnika w kunszt żywego słowa. Richard Church wyraża przekonanie, że poezja nowoczesna może być w pełni absorbowana tylko słuchowo.

Wracając do przykładów polskich, muszę przypomnieć wieczór autorski Jerzego Pietrkiewicza, który głosi te same co R. Church poglądy. Wysłuchawszy szeregu utworów Pietrkiewicza, znanych mi dawniej z lektury, ale nigdy w pełni nie przeżytych, przekonałem się, że zupełnie inaczej jawią się one w dobrej recytacji: przez uszy trafiają do warstw wrażliwości leżących gdzieś głęboko, nigdy nie poruszanych (przynajmniej jeśli chodzi o poezję) zdewaluowanym i sponiewieranym przez dziennikarstwo słowem drukowanym.

Wreszcie, skoro już mowa o stylu rapsodycznym w ramach emigracji polskiej, niepodobna pominąć niesłusznie niedocenianego, obecnie walczącego z ciężką gruźlicą, dobrze znanego nam aktora Z. Butryma. Nie wiedząc nic o istnieniu Teatru Rapsodycznego objechał on w r. 1948 liczne hostele polskie w Brytanii z typowo rapsodycznymi, choć bardzo skromnymi, bo nie podpartymi muzyką lub światłem, recytalami trzech wieszczów. Objazd ten cieszył się dużym powodzeniem. Gdy zapał widowni, jaki towarzyszył występom Butryma porównywam z fiaskiem „Listów do Matki“, nasuwa mi się podejrzenie, że błąd w reżyserii Kielanowskiego polegał nie na tym, że zbyt silnie poszedł w kierunku rapsodyczności, lecz przeciwnie — że nie potraktował całego widowiska wyłącznie z punktu widzenia streszczonych wyżej zasad dr. Kotlarczyka.

Wracam do punktu wyjścia. Droga, którą przeszedł Teatr Rapsodyczny od skromnych, lecz pełnych szczerego zapału i poświęcenia początków do obecnych wspaniałych osiągnięć jest niezwykle ciekawa i pouczająca. Z doświadczeń tej placówki polskiego żywego słowa powinno w pełni korzystać aktorstwo polskie na emigracji: nie w sensie ślepego naśladownictwa, lecz w znaczeniu podjęcia linii wytycznej, która wydaje się słuszna, gdyż przynosi owoce.

Polski Teatr Dramatyczny im. Słowackiego nie powinien zniechęcać się początkowymi niepowodzeniami na niwie rapsodycznej, a społeczeństwo i organizacje społeczne winny finansowo poprzeć nowy nurt poezji żywej. Rzecz jasna, że pierwsze próby nie będą opłacalne w sensie handlowym, ale z czasem wyrobienie i wychowanie polskiej widowni rozwiąże i to zagadnienie.

Stanisław Pałęcki

*) W Kings Cross Hall, koło Kings Cross.

WIECZORY TEATRALNE

ŚMIGUS WIOSENNY

JUŻ dawno wszyscy wiedzieli, że tej „naszej“ wojny nie będzie, już wszystkie włoskie ptaki świergoliły, że 2 Korpus pojedzie na rozbrojenie do Anglii, a jednak po różnych oddziałach odbywały się z tajemniczymi minami srogie ćwiczenia wojskowe. Nie wiem, czy nawet chwalebnym polskim zwyczajem nie liczono zajadle łusek wystrzelonych pocisków? Żołnierze i oficerowie niezbyt raźno czuli się w tej sytuacji na niby, ale co było robić? Dobrą minę do złej gry.

W obozach jenieckich też przygotowywano się zaciekle do wojaczki. Obkuwano regulaminy, z powietrza dyktowano nowe organizacje oddziałów, które co pewien czas, w miarę „nadchodzenia instrukcji“. „poprawiano“, odejmując lub dodając ludzi, broni maszynowej, czołgów, armat samolotów aux dèpens du roi de Grece. Oficerowie zawodowi o żywszej inteligencji z dość rzadką miną ciągali rezerwistów na te gry wojenne po łazienkach i przygotowywali do rzucenia się na strażników niemieckich i na odebranie im broni, ale co mieli robić? Taki był rozkaz „z góry“ — tłumaczyli się z pewnym zażenowaniem, świadczącym o poczuciu humoru.

Starszy pewnego obozu, znany z pomnikowej głupoty generał R., miał od lat gotowy plan obsadzenia Górnej Bawarii pod swoim jenerał - gubernatorstwem. Były kursy zawodowych oficerów na starostów i oficerów sztabowych na wojewodów. Tak — z patriotyzmu. Były jakieś wywiady i kontrwywiady, które załamały nerwowo paru wspaniałych chłopców, odkomenderowanych do wykradania części aparatów radiowych, przynoszących potem mniej wiadomości niż „Voelkischer Beobachter“ i do wyciągania z paczek wódki dla niektórych generałów... Były jakieś listy rzekomych szpiegów, na których znajdowali się najlepsi Polacy i listy najzaufańszych „góry“. na których znajdowali się najautentyczniejsi donosiciele Niemcom.

Było wszystko na niby, a należało te głupstwa traktować jak najbardziej serio, mimo ponurej śmieszności tego gorliwego serio. Wszystko to piszę po to, bo kiedy biorę udział w jakiejś emigracyjnej imprezie, często czuję się tak, jakbym siedział na „ćwiczeniach wojskowych“ w „łazience bloku A“ w Murnau. Całe to „na niby“ stara się człek przeżyć jak najbardziej na serio. Otóż na „W i o s e n n y m Ś m i g u s i e“. tej rewii na niby, starałem się śmiać w czasie konferansjerki Budzyńskiego, mimo kawałów starszych od Gór Świętokrzyskich, choć należą pono do najwiekowszych w Europie. Staram się bawić skeczami, których nie ma, baletem, którego być nie może, muzyczką, która ostatecznie, być nie musi, ensamblami, których być nie powinno.

Jan Bielatowicz, mój znakomity towarzysz codziennej orki na Praed Mews‘ie, nieraz wbijał mi do głowy, zwłaszcza, gdy nie ma ani pensa na swoją pajntę piwa, a conajmniej już od trzech dni nawet nie widział szklaneczki wina, że całe nasze życie na emigracji polega na jednym wielkim „na niby“. Istnieje między emigrantami milcząca zmowa zabawy w pozorną naturalność, gdy niemal wszystko co tu robimy, piszemy, organizujemy, jest pozbawione korzeni, jest bez ziemi pod nogami, bez nieba nad głową.

Nie wiem, ile Jan Bielatowicz ma racji. Mówiąc prawdę, nie chciałbym nawet tego wiedzieć. Coś jednak w tym jest. To łapczywe naśladowanie, ta gorączkowa chęć zatrzymania życia t.zw. normalnego nic nie znaczącymi słowami-mitami, od nazw partyj i organizacyj poprzez instytucje aż do potraw, świadczy, że wciąż przed sobą zakrywamy coś, do czego nie chcemy się przyznać nawet przed sobą. Wciąż nie chcemy sobie zdać sprawy, że jesteśmy w takim a takim punkcie świata, a nie w kraju; w roli emigrantów, a nie „najlepszej Polski“; co najwyżej uczących się czegoś dla niej, o nie pouczających jej; zmuszonych do zmiany siebie, a nie świata.

Jest w tej mnogości naszych pism na niby, naszych teatrów na niby, naszych instytutów kultury i uniwersyteckich na niby, naszych rad naukowych bez nauki, i związków naukowców bez prac naukowych, naszych partyj na niby i organizacyj na niby, wiele żałosnej śmieszności. Lecz ponieważ wciąż jeszcze traktujemy siebie i wszystko, co robimy, bardzo serio, zatem wszystko jest w jak najlepszym porządku. A więc „Śmigus wiosenny“ jest niezwykle miłym sposobem spędzenia dwu godzin w pogodnej atmosferze świetnego żartu, doskonałej piosenki, przy uroczej muzyczce.

Ale jedna rzecz pozostaje bardzo serio, choćby wszystko dokoła było złudą i nieprawdą: — człowiek. Tęskni, płacze, cierpi, jest głodny w sposób odwiecznie najprawdziwszy w każdej sytuacji. A kiedy jest aktorem, na emigracji czy u siebie, zawsze jest szczery i realny, gra na miarę całego siebie, daje całego siebie. Aktorzy „Niebieskiego Balonika“ nie są tu wyjątkiem: grali i śpiewali bynajmniej nie „na niby“.

jt

INTRUZ

Teatr Komedia w Ognisku Polskim w Londynie: „Intruz“, komedia w 3 aktach W. Budzyńskiego. Reżyser — L. Skwierczyński. Dekorator — T. Orłowicz.

NOWA komedia W. Budzyńskiego jest bajką o przerysowanych sytuacjach. Ludzie dobrzy są w niej za dobrzy, a „źli“ — za mało źli. Skutkiem tego ci ostatni są bardzo ludzcy, a dobrych zbyt szeroka strużka atramentu sklejała z papierem, od którego autor nie potrafił ich oderwać. Trochę za dużo poetyczności, robionej nie nazbyt po literacku wysoko. A to, że sytuacje są melodramatyczne, idzie z charakteru bajki. Dla tej melodramatyczności sztuka na pewno się podoba.

Może W. Budzyński nie potrafi zbudować scenicznie żywych postaci, ale zawsze umie wprowadzić je w interesujące sytuacje. Są to nie tyle charaktery ile pewne kwanta zgrabnych powiedzeń, chwytliwych gierek, dobrych ripost, dowcipów, które natychmiast oblekają się w sceniczne ciało i z łatwością przekraczają rampę. Budzyński jest majstrem nawiązywania kontaktu z widzem, trzyma jego uwagę prawie nigdy nie nużąc, choć nie najwięcej ma do powiedzenia. A to jest przecież talent. Budzyński potrafi pisać na scenę. Są w tej komedii powiedzenia nieraz znakomite, nie jako tekst, lecz jako sytuacja; żyją tylko w spięciu i zacytować ich w oderwaniu od sytuacji nie sposób.

„Intruz“ — trochę sztuczny jest ten tytuł w odniesieniu do tego, co ma w sztuce wyrażać — grany był bardzo dobrze. Rzadko widzi się mimo pewnych braków przedstawienie tak wyrównane. Jerzy Przetocki L. Skwierczyńskiego zrazu nużył grą jakby na jednej strunie. Ale też autor zbyt bujnym życiem go nie obdarzył. Takiego go stworzył i takim go miał. Alicja W. Baczyńskiej chwilami zbyt dekoracyjna w geście, zanadto szafująca nieuzasadnionym ruchem, ale bardzo efektowna. Doskonale radził sobie Karaś B. Urbanowicza, miał wiele prawdziwego ciepła w swej szorstkości. St. Wujastyk był Garliczkiem jak się patrzy, a H. Bystrzanowska (Joasia) zagrała swoje dwie role w jednej z wielkim wdziękiem. Jak na wędrowną scenę T. Orłowicz zmajstrował dekoracje z najprawdziwszego zdarzenia.

Widzowie byli bardzo zadowoleni z atmosfery tej starannie wyreżyserowanej sztuki. Oklaskiwali serdecznie autora, który był wywoływany i wykonawców.

jt

20-LECIE PRACY SCENICZNEJ ZOFII TERNE

W ostatnim tygodniu popularna artystka polska Zofia Terné obchodziła w Chelsea Town Hall w Londynie dwudziestolecie swej pracy scenicznej. Przedstawienie jubileuszowe składało się z występów jubilatki oraz artystów: N. Grudzińskiej, J. Jasińskiej, W. Budzyńskiego, F. Jarossego, L. Lawińskiego, J. Markowskiego i Rapackiego.

W pierwszej części dano dobre produkcje wymienionych artystów, w drugiej zaś — po przemówieniach Toma, Kielanowskiego i Hemara — bardzo wzruszona Zofia Terné wykonała szereg piosenek ze swego repertuaru. Mimo widocznego przejęcia serdeczną atmosferą, p. Terné potrafiła opanować tremę i dać dobre próbki swego talentu. Obsypana kwiatami i brawami publiczności, zmuszona była do wielokrotnego bisowania.

Sala udekorowana była w stylu dawnego warszawskiego „Qui Pro Quo“, gdzie Zofia Terné rozpoczęła swą karierę artystyczną. Na tle tych kabaretowych rekwizytów i w tym bardzo imtymnym (aż prowincjonalnym, choć prawie warszawskim) nastroju — dziwnie wyglądała bodaj, że oficjalna obecność Prezydenta Zaleskiego. Wprawdzie gen. Anders zdecydował się przyjąć protektorat nad tą bądź co bądź nie państwową i nie ogólnonarodową uroczystością, ale czy musiało to automatycznie pociągnąć za sobą udział Pierwszego Obywatela R.P.? Nie rozmieniajmy na drobne narodowych symbolów.

WOKÓŁ NAGRÓD LITERACKICH

LISTA No. 7.

Zebrano poprzednio	**£ 52.16. 3**
Prof. H. B. Hausmanowie	**—.10.—**
K. Imach	**—. 5.—**
M. Małachowska	**1.—.—**
J. Woronowicz	**—. 5.—**
I. Jędraszko	**—. 3. 3**
St. Kolberg	**—.10.—**
Ks. Wł. Słomiński	**—.10.—**
Bezimiennie	**—. 2.—**
Koło Studentek P.K.S.U.	
Veritas	**1.—.—**
St. Rolski	**—. 2. 6**
J. Strzemień	**—. 3.—**
J. Gogulski	**—. 2.—**
L. Rutkowski	**—. 1.—**
T. Sztekmiller	**—. 2.—**
M. Jarmuła	**—. 5.—**
K. Stendera	**—. 1.—**
Jeden z Czytelników	**—.10.—**
R. Tyszkiewicz	**—. 2. 6**
J. Jasnowski	**—.15.—**
Razem:	**£ 59. 5. 6**
Pozostaje do zebrania wśród Czytelników	**£ 40.14. 6**

UROCZYSTOŚĆ WRĘCZENIA NAGRÓD LITERACKICH

W dniu 3 maja 1950 odbyła się w sali Polskiej Misji Katolickiej w Londynie uroczystość wręczenia Nagród Literackich, utworzonych przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas“ przy ofiarnym współudziale Czytelników tygodników ŻYCIE i „Gazety Niedzielnej“. Jury w składzie: Antoni Bogusławski, Władysław Folkierski, X. Tadeusz Kirschke, Józef Kisielewski i Mira Małachowska pod przewodnictwem Stanisława Strońskiego uchwałą z 1 maja br. przyznało:

BEACIE OBERTYŃSKIEJ — Nagrodę Literacką za Ogólną Działalność Pisarską w kwocie £. 50.

Nagrodę Literacką Młodych w wysokości £. 100 postanowiono podzielić na dwie równe części po £. 50. Część pierwszą przyznano TADEUSZOWI NOWAKOWSKIEMU za książkę pt. „SZOPA ZA JAŚMINAMI“, część drugą EDMUNDOWI RÓŻYCKIEMU za nadesłaną w rękopisie powieść pt. „OBRACHUNEK WŁODARZY“, pierwszą książkę tego autora.

W tej kategorii Jury jednogłośnie postanowiło wyróżnić szereg pisarzy za nadesłane na konkurs nagród prace. I tak wyróżniono: Andrzeja Corvin Romańskiego z Singapore za powieść pt. „Więźniowie nocy“, powieść ta której temat zaczerpnął autor z przeżyć w obozach pracy w Autonomicznej Republice Komi w Z.S.R.R., została już wydana po angielsku w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, po duńsku, szwedzku i hiszpańsku; Józefę Radzymińską z Argentyny za powieści: „Spojrzenie na brzeg“ i „Noc cudzoziemska“; Marka Serba za powieść pt. „Powroty“; Wiktora Batyckiego za wspomnienia obozowe pt. „Myśli za drutami“.

Wśród poetów wyróżniono: Jerzego Dołęgę Kowalewskiego za zbiór wierszy pt. „1939 — 1949“, Zofię Bohdanowiczową za zbiór pt. „Wiersze“, Henryka Mirzwińskiego za zbiór poezyj pt. „Etiudy“, Jana Winczakiewicza z Paryża za poezje pt. „W mroku“, Jana Olechowskiego za zbiór wierszy pt. „Chwile nocne“, Edwarda Chudzyńskiego za poezje pt. „Szukanie sensu“.

Nagrodę dla publicysty katolickiego w wysokości £. 25 otrzymał WOJCIECH WASIUTYŃSKI.

Nagrodę Poetycką w kwocie £. 25; przyznano BRONISŁAWOWI PRZYŁUSKIEMU za **„Poemat Nielogiczny“** i tomik poezyj pt. **„Obrona mgieł“**.

Nagrodę Poetycką w kwocie £. 25 otrzymał BOLESŁAW KOBRZYŃSKI za nadesłany w rękopisie tomik poezyj pt. „Dzwony i piekło“.

Na ręce Jury Nagród Literackich nadesłano ogółem 42 prace, w tym 27 zbiorków poezyj, 8 powieści, 2 dramaty i 1 misterium. Nadesłało je ogółem 38 osób, z których 29 było z W. Brytanii (wśród nich 16 osób z Londynu), po 2 osoby z Francji, Irlandii i Argentyny, po jednej osobie z Belgii, Holandii i Singapore.

Szczegółowe sprawozdanie z przebiegu uroczystości znajdą Czytelnicy w następnym numerze ŻYCIA.

Z SALI ODCZYTOWEJ

„Przyroda i własnośc” w ujęciu prof. Jundziłła

DRUGA z cyklu pogadanek prof. Z. Jundziłła o własności, wygłaszanych w ramach odczytów Społeczności Akademickiej USB, dotyczyła stosunku pojęć o prawie własności do przyrody. Prelegent odgrodził się zaraz na wstępie od usiłowań sformułowania teorii „prawa natury“. które na przestrzeni ostatnich 150 lat miało tak wiele, często sprzecznych, interpretacji. Prof. Jundziłł jest zdania, że slogan o własności jako prawie natury niczego absolutnie nie wyjaśnia: jest to zakrywanie problemu niewiadomą — znakiem matematycznym nieskończoności.

W części analitycznej prelekcji prof. Jundziłł zajął się dwoma kierunkami poszukiwania podstaw prawa własności w naturze: poprzez badania zwyczajów i sposobów życia zwierząt i drogą studiów nad ludźmi prymitywnymi. U zwierząt nie można stwierdzić żadnych śladów poczucia własności, a próby niektórych badaczy tłumaczenia pędem do własności takich faktów, jak gromadzenie przez sroki przedmiotów świecących, nie mogą być traktowane poważnie. Rzecz charakterystyczna, że zbiorowości zwierzęce, robiące wrażenie organizacji społecznych, istnieją tylko u zwierząt niższego rzędu, jak mrówki i pszczoły.

Jedynie człowiek stworzył instytucję własności, opartą na idei trwania osobniczego, rodzinnego i w ciągu pokoleń (Platon). Pierwotnie własność miała charakter egzystencjalny i zmierzała do zabezpieczenia przyszłości. Był to ideał życia skromnego, który widzimy u Owidiusza i który przetrwał aż do XVII wieku. Analizując różne formy własności u ludów pierwotnych — Melanezyjczyków, mieszkańców Indii Zachodnich, czy Jakutów — dochodzi się do wniosku, że formy własności indywidualnej zazębiają się u nich z własnością kolektywną, a nawet współistnieją obok siebie. Tak n.p. traperzy amerykańscy, zawłaszczając dziką zwierzynę zimą — praktykują własność indywidualną i ekskluzywną; natomiast latem, gdy łowią wspólnie ryby — są kolektywistami. Te same tendencje kolektywne, wyrażające się w pędzie do podziału, rozdawania dóbr można zaobserwować zarówno u prymitywnych mieszkańców jak i u chłopów polskich urządzających wystawne wesela, na których następuje swoisty rozdział dóbr spożywczych (także dożynki itp.)

Drugą formę własności wytworzył człowiek [illegible] później: zmierza ona do bogacenia się, a nie do zachowania egzystencji. Już Arystoteles rozumiał, że ta zdobywcza forma własności nie ma podstaw w przyrodzie i w naturze — jest tylko wynalazkiem ludzkiego umysłu (św. Tomasz).

Teza prelekcji prof. Jundziłła, że ta druga forma własności prowadzi do nadużyć i rozciąga w nieskończoność pożądliwości ludzkie, których zaspokojenia jednostki i narody szukają na drogach siły fizycznej, nie budzi wątpliwości.

Rozpoczynająca się premiera „Intruza“ przeszkodziła mi tym razem w obserwowaniu reakcji — jak zwykle nielicznego — grona słuchaczy prof. Jundziłła, tych samych, którzy niezbyt życzliwie przyjęli poprzednie jego wywody o fetyszyzmie własności (patrz Życie Nr. 16).

Przed rozpoczęciem prelekcji prof. Jundziłł, nawiązując do głosów prasowych swego poprzedniego wystąpienia, zastrzegł się, że nie traktuje swych wypowiedzi jako wykładów uniwersyteckich i świadomie nadaje im odpowiadającą mu bardziej formę pogadanki. Gdyby także inni członkowie Społeczności Akademickiej USB. zechcieli na przyszłość zaadaptować tę bardziej popularną formę, to — przy odpowiedniej propagandzie — odczyty ich mogłyby się odbywać nie w małej sali bibliotecznej „Ogniska“. lecz wobec wypełnionej po brzegi sali teatralnej na I piętrze. Uniwersytet powszechny — oto co mogłaby ofiarować polskiemu Londynowi Społeczność Akademicka USB.

Red. Rojek o książce prof. Dvornika

KLUB Towarzyski YMCA nie ma ostatnio szczęścia do tytułów swych imprez. Wieczór poezji ludowej nazwał — niewiadomo poco i dlaczego — „wieczorem dziewcząt“ (choć tylko jedną z występujących wówczas pań można od biedy podciągnąć pod tę nazwę, w polskim języku stosowaną zazwyczaj do podlotków, a w każdym razie do kobiet niezamężnych niepełnoletnich), a mówiona recenzja red. M.E.Rojka o książce prof. Dvornika „The Making of Central and Eastern Europe“ ochrzcił bardzo szumnym tytułem „U kolebki dziejó Polski“. Sądzę, że elegancja intelektualna winna nakazywać unikanie takich wprowadzających w błąd tytułów.

Jeśli chodzi o meritum swobodnej pogawędki p. Rojka, to od streszczenia dokonanego przezeń streszczenia cennej książki prof. Dvornika zwalnia mnie fakt, że dzieło to było już omówione na łamach ŻYCIA kilka miesięcy temu przez znanego historyka J. Jasnowskiego. Nasuwa się jednak parę uwag, dotyczących metody krytycznej prelegenta oraz metody dobierania recenzentów na zebraniach tego rodzaju.

Mimo całej sumienności a zwłaszcza gorliwości p. Rojka, w czytaniu dzieł historycznych nie można zgodzić się na wyrywanie przy referacie odpowiadających prelegentowi kawałów i pomijanie innych — jak sam prelegent twierdził — bardzo ciekawych ustępów dzieła. Sprawom wschodnim, w szczególności ruskim, poświęcił p. Rojek zaledwie pięć minut swego przeszło godzinnego odczytu. Zdziwiło mnie to tym bardziej, że p. Rojek uchodzi (i ponoć sam uważa się) za specjalistę w sprawach ruskich i ukraińskich. Relacja p. Rojka nie posiadała poza tym zalet, których wymaga się od historyka: np. ustawienie faktów w czasie pozostawiało wiele do życzenia. Wątpię wreszcie, czy wyrażanie osobistych poglądów politycznych recenzenta na temat większych i mniejszych możliwości takiej czy innej unii lub federacji środkowo i wschodnio-europejskiej mieściło się w ramach tematu objętego — choćby tym nieścisłym — tytułem, a tym bardziej zakresem książki Dvornika. Nie sądzę zresztą, aby te powszechnie znane poglądy mogły specjalnie zainteresować słuchaczy.

I jeszcze jedno — tym razem pod adresem zarządu Klubu Towarzyskiego YMCA. Nie można mieć pretensji, że p. Rojek, który, jak sam to wielokrotnie podkreślił, jest samoukiem i amatorem w historii, podjął się recenzować dzieło historyczne: ostatecznie mało kto potrafi być sędzią własnych kwalifikacji. Zachodzi jednak pytanie, czy zarząd klubu nie mógł znaleźć fachowca, który by podjął się nie tylko streścić książkę, ale także pokazać ją w perspektywie innych dzieł z tego zakresu i krytycznie ją skomentować. Nie wiem, jak dla innych słuchaczy, ale dla mnie nie było rzeczą ciekawą wysłuchiwać ciągłych wyjaśnień prelegenta o własnej niekompetencji i deklaracji, że sprawa obrządku słowiańskiego św. Cyryla i Metodego była dla niego rewelacją, albo szczerego wyznania, że o sprawach Bizancjum woli nie mówić, bo ich nie zna, gdy mowa o dziele światowej sławy bizantynisty, który dokonał jednego z najbardziej sensacyjnych odkryć w dziejach, jeśli chodzi o rolę Focjusza.

Dyskusja, która wywiązała się po gawędzie, przyniosła cenne **novum:** p. Niemojewski oświadczył, że w aktach kapituły krakowskiej do r. 1100 spotykał się z dokumentami i tekstami pisanymi „gołolicą“, czyli alfabetem liturgicznym obrządku słowiańskiego, który panował w państwie Wielkomorawskim.

(sp)

NOWE FILMY

„CAŁE WOJSKO KRÓLEWSKIE"

(„ALL THE KING'S MEN")

Powyższy film wytwórni amerykańskiej Columbia uzyskał w Stanach Zjednoczonych aż trzy nagrody (jako najlepsze dzieło ubiegłego roku, za najlepszą kreację męską — t.zw. Academy Award — dla Brodericka Crawforda i za najlepszą kreację drugoplanową dla Mercedes Mc Cambridge) i wyświetlany jest obecnie w dwóch kinoteatrach londyńskiego West-Endu, a wkrótce pójdzie niewątpliwie na t.zw. „general release" (pokaz ogólny na przedmieściach Londynu i na prowincji). Z tych wszystkich względów „All the King's Men" zasługuje na szybkie omówienie.

Idąc na ten film, należy pamiętać, że zobaczymy na ekranie sprawy typowo amerykańskie, uwarunkowane przepisami prawnymi i zwyczajami politycznymi Stanów Zjednoczonych. Pokazana tu historia oparta jest na autentycznej karierze polityka amerykańskiego, choć film nie jest bynajmniej dokumentarny i ma daleko szersze ambicje. Kręcony był spokojnie, bez żadnych sztuczek — w rodzaju odwróconej chronologii, specjalnie wyszukanych skrótów fotograficznych itp. — jest to po prostu filmowa, bardzo wartka opowieść, zaczynająca się, jak to mówią „od pieca".

Autentyczny prototyp obecnego bohatera filmu, Willy Starka (dobra, ale typowo anglosaska kreacja Crawforda) nazywał się Huey Pierce Long i był gubernatorem stanu Louisiana przed 15 laty. Uwolnił on 70 proc. podległej sobie ludności od wszelkich podatków, powiększył dług państwowy swego stanu o 35 milionów funtów, skoncentrował w swych rękach władzę pięciu departamentów rządowych, stłumił krwawo rewolucję niezadowolonych elementów i w końcu został zastrzelony przez młodego zamachowca — lekarza. Taka sama mniej więcej jest fabuła filmu. Jednym słowem historia kieszonkowego, amerykańskiego Hitlera może trochę rozsądniejszego, bo nie porywającego się na sąsiednie stany.

Gra wszystkich artystów jest bez zarzutu, a Mercedes McCambridge wybija się na plan pierwszy, bo oprócz kunsztu aktorskiego, wnosi trochę serca.

Mówiąc o sercu dochodzimy do pięty achillesowej obrazu. Mimo bardzo zwartej akcji, mimo nienagannego realizmu i ciekawego ujęcia psychologicznego i socjologicznego, „Całe wojsko królewskie" nie robi na widzu takiego wrażenia, jakiego należało by oczekiwać od tego rodzaju dzieła, nakręconego w dodatku przez tak zdolnego reżysera, jak Robert Rossen. Otóż film ten — jak większość nawet najlepszych filmów anglosaskich — jest zimny. Jedynym wyłomem w chłodnym, pozbawionym nurtu uczuciowego (nie chodzi o sentymentalizm, bo to byłby także błąd), tak charakterystycznego dla filmów włoskich, jest sekretarka i przyjaciółka gubernatora - dyktatora Mercedes McCambridge. Inni ludzie w tym filmie tchną pustką — odnosi się wrażenie, że zamiast serc mają dziury, wypełnione formułkami i receptami psychologicznymi, w dodatku nie zawsze jasnymi. Naprzykład nagła przemiana Starka z porządnego obywatela w demonicznego opętańca władzy jest pokazana w sposób niezbyt przekonywujący. Tym nie mniej jest to film interesujący, żywy, wzbogacający nasz kontakt z mało znaną i dlatego ciekawą, amerykańską i ogólnoludzką rzeczywistością.

„OSZOŁOMIONE SERCE"

(„The Astonished Heart")

Jak pouczyła mnie recenzja jednego z duchownych krytyków katolickiego czasopisma flmowego „Focus" oszołomienie serca („astonishment of heart") jest jednym z przekleństw spadających na tych, co nie przestrzegają przykazań Boskich. Wyrażenie to użyte jest w rozdziale 38 Księgi Deuteronomium: „Pan porazi cię szaleństwem i ślepotą oraz oszołomieniem serca".

Jeśli to założenie biblijne przyjmie się za myśl przewodnią, która przyświecała reżyserom A. Darnborough i T. Fisher), gdy wybierali na tytuł dla filmu dość rzadkie w języku angielskim zestawienie przymiotnika „astonished" z rzeczownikiem „heart", wówczas film ten, pozornie pogański i niewiele mający wspólnego z moralnością, nabiera głębszego sensu i staje się wysoce moralny. W każdym razie nie jest to film dla wszystkich: przed oglądaniem go przez nieletnich chroni cenzura (kategoria „A" — dla dorosłych), ale nawet ludzie dojrzali niezawsze pojmą komplikacje psychologiczne pokazanych charakterów. Film wymaga od widza inteligencji i wczucia się w dolę człowieka błądzącego po ścieżkach grzechu, który nie daje szczęścia, lecz wiedzie wprost do zguby.

Jest to historia trókąta małżeńskiego. Dr Faber (Noel Coward), zdolny lekarz - psycholog, którego zawód wymaga beznamiętnego, naukowego podejścia do powikłań i schorzeń życia seksualnego pacjentów, przeżywa wielki wstrząs. Będąc człowiekiem żonatym, wpada w sidła pięknej Leonory Vail (świetna kreacja Margareth Leighton), przy czym ze zdumieniem stwierdza, że zachowuje się jak każdy z pacjentów, którym niesie pomoc lekarską, po prostu jak zwykły wiarołomca: cierpi męki zazdrości i upokorzenia, ulega zaślepieniu. Porażony szaleństwem niedobrej miłości, ślepotą na sprawy, które on — lekarz zna przecież teoretycznie na wylot, dotknięty oszołomieniem serca, postanawia wyrwać się z koła udręki przez samobójstwo. Kochająca, wyrozumiała, ale pozbawiona zmysłu religijnego i tak samo jak mąż racjonalizująca życie żona psychologa stara się podchodzić do całej sprawy, jak do zwykłej biologicznej choroby. Ułatwia mężowi wyjazd z przyjaciółką, aby „umożliwić wyłączenie jej z systemu życiowego" lekarza. Dr Faber umiera, pozostawiając żonie pocieszającą wiadomość, że uwolnił się wreszcie od ciemności i oszołomienia.

Choć to, co widzimy na ekranie, nie jest wysoce moralne i zasługiwałoby może na bojkot purytańskiej ligi obyczajowości, film nie ma intencji demoralizowania. Przeciwnie, pokazuje **bezsens i próżnię** nieuporządkowanej namiętności ludzkiej. Słabą stroną tej moralności à r e b o u r s jest obawa, aby widz nie doszedł do przeświadczenia, że człowiek nie jest w stanie zapanować nad swą namiętnością. Od takiego pojmowania chroni katolika wymowa biblijnego tytułu.

Pod względem artystycznym film nie jest bez zarzutu. Grzechem pierworodnym był fakt, że dzieło pomyślane początkowo jako krótkometrażowe, rozdęto następnie do rozmiarów pełnego filmu, powierzając główną rolę Noelowi Cowardowi, który nie stanął tym razem na wysokości zadania, choć w drugiej połowie obrazu potrafił wydobyć wstrząsające akcenty z przeżyć nieszczęśliwego grzesznika. Gra innych aktorów doskonała. W sumie: film bardzo interesujący — nie mniej, ale i nie więcej. (nw.)

KRONIKA FILMOWA

FILM O ROKU ŚWIĘTYM I PAPIEŻU

Pod koniec kwietnia zapowiedziano wyświetlanie w czterystu kinach brytyjskich firmy Associated British Pathé i w wielu kinach niezależnych długometrażowego filmu dokumentarnego o Roku Świętym. W ten sposób setki tysięcy katolików brytyjskich, którzy nie będą mogli odbyć pielgrzymki do Rzymu, będzie mogło obejrzeć uroczystości jubileuszowe, a zwłaszcza Ojca Świętego. **Z okazji** tej powinni skorzystać wszyscy Polacy. Komentarz mówiony tego filmu wykonany jest przez znanego aktora katolickiego Wilfreda Pickles.

W wywiadzie udzielonym pismu „Catholic Herald" główny reżyser firmy Pathé, p. Howard Thomas oświadczył, że Pius XII bardzo życzliwie współpracował z brytyjską ekipą filmową nakręcającą ten film: udzielił zezwolenia na dokonanie szeregu zdjęć swej Osoby z bliska i polecił ułatwić filmowcom ich pracę w każdej dziedzinie. Pod koniec filmu wygłasza Ojciec św. specjalne przemówienie w języku angielskim które było wypowiedziane wprost do mikrofonów kamery. Niezależnie od tego firma His Master's Voice nagrała na czterech płytach głos Papieża m. in. fragment uroczystości otwarcia Roku Świętego (wejście przez święte drzwi do bazyliki św. Piotra). Na zdjęciach filmowych Papież będzie widziany z tak bliskiej odległości, z jakiej ogląda go w Rzymie tylko bardzo niewielu pielgrzymów.

Krytyk filmowy „Catholic Herald", który obejrzał film na specjalnym pokazie, uznał dzieło to za doskonałe: jest, zdaniem jego, treściwe, katolickie z ducha i uwzględnia zarówno aspekty historyczne jak i współczesne Lat Świętych. Zaletą filmu jest fakt, że pokazano nie tylko widoki Rzymu, ale także Betlejem, Jerozolimy i Kafarnaum, jak również sceny procesji religijnych w Bretanii, w Lourdes i w innych miejscach świata. Sceny te skonstrastowano bardzo zręcznie z pogańskimi paradami w państwach totalitarnych. W tym miejscu filmu komentator przypomina o krajach europejskich, gdzie religia chrześcijańska jest prześladowana. W filmie nie zabrakło oczywiście scen nakręconych w W. Brytanii.

KRYZYS W KINEMATOGRAFII BRYTYJSKIEJ

Dyskusja w Parlamencie i oświadczenia osób oficjalnych przyniosły sporo materiału o kryzysie w brytyjskim przemyśle filmowym. Okazuje się, że dotychczasowe zarządzenia, nakazujące wyświetlanie we wszystkich kinach brytyjskich czterdziestu procent produkcji krajowej, nie mogą być wykonane po prostu dlatego, że wytwórnie nie są w stanie nakręcić takiej ilości. Procent ten postanowiono zredukować od października do 30 proc.

Nie wchodząc w szczegóły cyfrowe, trzeba stwierdzić, że większość wytwórni brytyjskich nie jest samowystarczalna i na państwo w coraz większym stopniu spada ciężar utrzymywania jej w ruchu. Ostatnio postanowiono zastrzyknąć przemysłowi kinowemu dalszy milion funtów z kasy państwowej. Z drugiej strony władze skarbowe pobierają od kin bardzo wysoki podatek rozrywkowy (w ciągu ostatniego roku 30 milionów funtów). Jest to jeszcze jeden przykład jak bardzo współczesne urządzenia i zarządzenia państwowo-gospodarcze przypominają dom wariatów.

Ogłaszane przez związek producentów cyfry wykazują, że filmy brytyjskie nakręcane są bardzo kosztownie. Porównywując sukcesy artystyczne kinematografii włoskiej, osiągnięte przy bardzo niskich kosztach z przeciętnymi, a często nędznymi wynikami produkcji brytyjskiej, dochodzi się do wniosku, że mamy tu znowu do czynienia ze stawianiem świata na głowie; brytyjska maszyna filmowa jest przesadnie rozbudowana, kręci się nie dla publiczności (a już najmniej dla sztuki filmowej), lecz sama dla siebie. Więcej nawet: publiczność traktuje się jako stado głupców, którzy mają utrzymać tę olbrzymią i rozklekotaną machinę. I rzecz charakterystyczna, że nikomu nie przychodzi do głowy zredukować większość matołów i wyrobników filmowych, kierując ich do uczciwszej pracy. Przeciwnie — wytwórnie wyciskają rządowe pieniądze, używając bezrobocia w przemyśle filmowym jako głównego argumentu. Maszyna musi się kręcić, a ty widzu oglądaj głupie i nędzne filmy.

SPRAWY NIEMIECKIE

Większość czasopism angielskich bardzo gorliwie zajmuje się obecnie polowaniem na przyszłego rekruta niemieckiego, przy czym nawet powierzchowny obserwator z łatwością może zauważyć, że nie chodzi tu o abstrakcyjną miłość wspólnoty europejskiej, lecz o chęć zmniejszenia do minimum ewentualnej ofiary krwi i pieniędzy, jaką Brytyjczycy będą zmuszeni złożyć w rozgrywce z Rosją. Prym w kokietowaniu Niemców trzyma ultrakonserwatywna, rzec można reakcyjna „Truth" która w każdym numerze zamieszcza coraz dalej idące propozycje i sugestie. W numerze z 7 kwietnia p. Beniamin Carr woła o stworzenie armii niemieckiej i ubolewa, że „niemiecka klasa robotnicza odznacza się szczególną niechęcią wobec wojska" (co, oczywiście, nie jest prawdą — jak to udowodniło zachowanie się socjaldemokracji w pierwszej wojnie światowej, a potem za Hitlera). Pan Carr uważa, że socjaldemokraci niemieccy zgodzą się na koncepcje „narodu pod bronią" i opartej na powszechnym poborze milicji narodowej na wzór szwajcarski. Armia taka — zdaniem autora — byłaby popularna wśród wszystkich klas społeczeństwa niemieckiego.

Zaraz w następnym numerze „Truth" zamieściła artykuł kpt. Cuthbert Reavely pt. „The False Franco - German Feud", nawołujący w imię realizmu do zjednoczenia Francji i Niemiec do walki z komunizmem. Zdaniem autora artykułu zjednoczenie takie może nastąpić jedynie pod egidą Brytanii, w ramach pełnej suwerenności, która słusznie należy się dumnemu narodowi niemieckiemu. Dla poparcia swych argumentów kpt. Reavely sięga obłudnie do marzeń Renana o unii Francji, Anglii i Niemiec i dmie w wielką dudkę „chrześcijaństwa" (vide analiza Voigta): „Sen Renana musi być urzeczywistniony, jeśli chcemy ocalić cywilizację chrześcijańską. Kto tego dokona, będzie słusznie uznany za największego męża stanu w historii".

W innym miejscu „Truth" krytykuje ofiarowanie przedstawicielom Zachodnich Niemiec niepełnoprawnego miejsca w Radzie Europy (bez prawa zasiadania w Komitecie Ministrów) i w parę dni po demonstracyjnym odśpiewaniu przez premiera Adenauera w obecności przedstawicieli mocarstw zwycięskich „Deutschland über alles" wychwala talenty polityczne tego niemieckiego męża stanu.

Z innej strony do spraw niemieckich podchodzi organ lewego skrzydła Partii Pracy „Public Opinion". W artykule pt. „Germany's First Aim" pióra Reginalda Pecka, pismo to przypomina sprawę zachodnich granic Niemiec, wysuwając tezę, że Niemcy nigdy się na nie nie zgodzą, choć państwa bezpośrednio nie zainteresowane zdają się obecną linię graniczną uważać za trwały modus vivendi. Wysunąwszy parę hipotez co do polityki Rosji wobec Niemiec, p. Peck dochodzi do następujących konkluzji: „Polityka rosyjska jest domeną domysłów: ale determinacja Niemców w przedmiocie zjednoczenia nie budzi wątpliwości. Cała siła ponad 60 milionów ludzi skierowana jest na usunięcie linii demarkacyjnej, która może wydawać się trwałą innym, ale nie Niemcom. Jest to sytuacja, której alianci nie mogą negliżować, zwłaszcza, że stwarza ona dla nich największe możliwości. Jeśli będą zręcznie wygrywać karty, które mają w rękach dzięki własnym osiągnięciom i dzięki błędom rosyjskim, to zdołają wygrać zimną bitwę o Europę."

Warto sobie zapamiętać ten artykuł, w którym ani słowa nie poświęcono stanowczej woli całego narodu polskiego utrzymania pozycji nad Odrą i Nysą, ani haniebnemu rozbiorowi Polski. Ze zdumiewającą łatwością autor artykułu uznaje milcząco linię Curzona za stałą granicę, a granicę ofiarowaną zdradzonej i okradzionej z połowy terytorium Polsce w formie kompensaty na zachodzie — za linię demarkacyjną i przedmiot handlu w tranzakcji kupna rekruta niemieckiego. Wyłączenie krajów środkowo- i wschodnio - europejskich ze wspólnoty europejskiej, o którą trzeba walczyć, uważa autor za rzecz tak oczywistą, że nawet nie usiłuje zdefiniować o jaką to Europę mają grać Alianci fałszywymi kartami.

EPISKOPAT POLSKI DO WIERNYCH

Już po złamaniu numeru, gdy ŻYCIE szło na maszynę, otrzymaliśmy tekst oświadczenia Episkopatu Polskiego, zamieszczony w 18 nrze „T. Powszechnego", w sprawie układu Kościoła w Polsce z reżymem.

Narazie ze względów technicznych, musimy ograniczyć się do zamieszczenia samego tekstu odkładając omówienie go na później.

KOMUNIKAT EPISKOPATU POLSKI DO WIERNYCH

W dniu 14 kwietnia br. imieniem całego Episkopatu Polski trzej Biskupi podpisali dokument, określający niektóre warunki życia i działalności Kościoła Katolickiego w odrodzonym Państwie Polskim.

Kościół Katolicki, zespolony wielowiekowymi więzami współżycia, pracy religijno-moralnej, swych zasług kulturalnych i historycznych, z życiem Narodu i Państwa, nie da się oddzielić od wspólnych losów z Narodem. Zbyt mocno bowiem powiązany jest tyloma instytucjami życia wspólnego. Próba takiego rozdzielenia byłaby szkodliwa zarówno dla Kościoła, jak i dla życia publicznego.

Mając na uwadze ten fakt dziejowy, jak i zasady, którymi Kościół rządzi się nieodmiennie, w zmiennych warunkach bytowania, Biskupi polscy, od pierwszej niemal chwili odrodzenia naszej państwowości widzieli potrzebę określenia wzajemnego stosunku Kościoła i Państwa. Od dawna już były toczone rozmowy dla rozstrzygania wyłaniających się trudności. W połowie ubiegłego roku Episkopat Polski skierował trzech swoich przedstawicieli do tak zwanej Komisji Mieszanej złożonej z członków Rządu i Episkopatu, celem rozpatrzenia całokształtu wspólnych spraw.

Prace Komisji, prowadzone wśród piętrzących się trudności, wywołanych nie dającymi się usunąć różnicami światopoglądowymi, nie były łatwe. Wymagania toczącego się życia doprowadziły jednak do uzgodnienia najpilniejszych i najdonioślejszych spraw.

Jeśli nie wszystko zostało uzgodnione, to dlatego, że deklaracja nie jest konkordatem a wiele spraw należy tylko do Stolicy Apostolskiej. Sprawy uzgodnione zostały ujęte w trzech dokumentach, ostatnio podpisanych: 1) we wspólnej deklaracji, 2) w dołączonym do niej protokule i 3) w dwóch załącznikach.

Co zostało uzgodnione? — Sprawa najdonioślejsza dla Kościoła i katolickiego Narodu — to zabezpieczenie przez Państwo nauki religii w szkole, praktyk religijnych dla młodzieży szkolnej, praw dla pozostałych szkół katolickich, opieki duszpasterskiej w wojsku, w szpitalach i w więzieniach. Katolickiemu Uniwersytetowi Lubelskiemu zapewniono prawo do dalszej pracy. Uznano prawo Kościoła do prowadzenia pracy dobroczynnej i katechetycznej, wydawnictw i pism katolickich. Młodzież duchowna w Seminariach Duchownych otrzymuje możność prowadzenia bez przeszkód swych studiów teologicznych. Zakony i domy zakonne otrzymują zapewnienie swobodnej pracy i prawo do niezbędnych środków materialnych, do skromnego utrzymania.

Niewątpliwie, doniosłym dla nas jest uznanie, że Papież jest miarodajnym i najwyższym autorytetem Kościoła w sprawach wiary, moralności i jurysdykcji kościelnej; uznanie to odpowiada bowiem najgłębszym uczuciom katolickim Narodu do Stolicy świętej.

Wychodząc z założeń katolickiej moralności, Kościół — ze swej strony — wzmacnia w wiernych poszanowanie prawa i władzy, zachęca do wytrwałej pracy nad odbudową kraju. Głosząc zasady katolickiej moralności społecznej, przyczynia się walnie do ugruntowania ducha chrześcijańskiej wspólnoty i sprawiedliwości — dla dobra ogółu. A przez swoje wychowanie Kościół umacnia wśród ludzi poszanowanie życia ludzkiego, posłuszeństwa, porządku i ładu.

Kościół jednoczy się z całym Narodem we wspólnej trosce o poszanowanie naszych dziejowych praw do całości ziemi ojczystej.

Biskupi polscy, idąc za najwyższym przykładem Ojca Świętego, pragną przeniknąć lud wierny uczuciami braterskiej miłości i pokoju, słusznie wierząc, że wszystkie bogactwa ziemi i zdobycze kultury mają służyć pokojowi i dobrobytowi, a nie niszczycielskiej wojnie. Wszystkie modlitwy nasze, co dzień we Mszy świętej zanoszone, zwracamy do najwyższego Króla pokoju, aby obdarzył nas sprawiedliwym pokojem, którego tak potrzeba polskiej ziemi.

Episkopat Polski ufa, że pokój wewnętrzny, jako owoc sprawiedliwości, jest najlepszym przygotowaniem do pracy nad utrzymaniem pokoju światowego.

Gniezno, dnia 22 kwietnia 1950 r.

Podpisali —

WSZYSCY BISKUPI POLSCY

NA MARGINESIE

SZTUKA ANTYPROPAGANDY

NA porządku dziennym konferencji Trzech Ministrów Spraw Zagranicznych, (początek 8 maja w Londynie) umieszczono sprawę propagandy jako broni ideologicznej w zimnej wojnie. Czy warto rzeczywiście tak bardzo łamać sobie głowę nad tym, co mówić a czego nie mówić, zwracając się do narodów ujarzmionych przez Moskwę? Możemy służyć jedną radą; Nie robić rzeczy, które propaganda sowiecka potrafi świetnie wykorzystać na swoją korzyść. Mamy przykład w zanadrzu.

Wszyscy wiedzą, że w dniu „Święta majowego“ w Berlinie zwierzchni nadzór nad całą reżyserią obchodu w zachodnim sektorze spoczywał w ręku sprzymierzonych władz okupacyjnych. Chodziło o zdobycie laurów dla Zachodu przeciwstawiajac hasło — „pokoju w wolności“ — „zjednoczeniu w okowach“.

Uroczystość rozpoczęła się podniesieniem na maszcie flag każdej z „ziem“ (Länder) znajdujących się pod okupacją sowiecką, jak również „utraconych“ prowincji Prus Wschodnich, Pomorza i Śląska. Flagi Saary jednak nie podniesiono... Władze okupacyjne dopilnowały, by demonstracja ograniczyła się do wschodnich granic Niemiec. Czy panowie Wysocy Komisarze nie zdają sobie sprawy z tego, że będą słusznie przedstawieni w Polsce jako rzecznicy niemieckiego rewizjonizmu? Niemców tym chwytem sztandarowym nie pozyskają, a za Żelazną Kurtyną dobrze wszyscy pamiętają, jak w Poczdamie Stany Zjednoczone i W. Brytania wyraziły zgodę na wysiedlenie Niemców z ziem dziś pod ich patronatem przez Niemców rewindykowanych. Na tym polega anty-propaganda.

WZÓR ANTYPROPAGANDY

WILIAM BULLITT były ambasador Stanów Zjednoczonych przed wojną w Moskwie a potem w Paryżu, bardzo zawsze wojowniczo — a na cudzy koszt — w stosunku do Związku Sowieckiego nastrojony, ogłosił program „działania“ w zimnej wojnie, złożony z 9 punktów. W jednym ze swych wskazań doradza on „powiększenie środków na akcję **podtrzymania oporu za Żelazną Kurtyną“**! — Czy krewki ambasador nie czyta sprawozdań z procesów politycznych w tych krajach, gdzie podsądni są wszyscy pomawiani o szpiegostwo na rzecz Ameryki i otrzymywanie od niej pieniędzy? Powinien byłby się zastanowić nad znaczeniem takich jak jego oświadczeń dla przyszłych procesów. Takie wystąpienie jest też w innym rodzaju wzorem anty-propagandy i zbrodniczego cynizmu, a może „zwyczajnej“ bezmyślności?

KRÓL NIE MOŻE SIĘ MYLIĆ

PRZED paru tygodniami w Izbie Gmin jeden z posłów zainterpelował ministra wojny p. Johna Strachey, dlaczego król Egiptu Faruk został mianowany generałem brytyjskiej armii?

Minister odpowiedział, że mianował go król.

Przewodniczący Izby (speaker) odrazu uniemożliwił dyskusję oświadczając, iż Parlament nie jest miejscem dla rozpraw nad królewskimi prerogatywami.

Nie zadowoliło to najstarszego członka Izby t. zw. Ojca Izby lorda Wintertona, który zapragnął gwarancji, że coś podobnego więcej się nie powtórzy. Odpowiedź Speakera była bardzo charakterystyczna: „Mogę dostojnego lorda zapewnić, że podobne pytanie nie ukaże się więcej w drukach rozpraw Parlamentu“. Jak widać Izba Gmin przestrzega wiekowej zasady, że król nie może się pomylić.

Y. I.

Z A P I S K I

WSCHÓD — ZACHÓD

PEWIEN cesarz w starożytnych Chinach rozpoczął panowanie od tego, iż nakazał wszystkiemu w państwie ponadawać nowe nazwy, aby — jak się wyraził — „nazwy odpowiadały rzeczom“. To było możliwe w dawnych Chinach, gdzie panowali mędrcy i filozofowie. Dziś, „z postępem czasu“, nowe nazwy nadaje się tylko ulicom.

Wiadomą jest rzeczą, że słowa używane potocznie niejednokrotnie nie odpowiadają rzeczom, których są znakami. Gorzej jest jednak, jeśli ludzie, którzy jako naukowcy lub piszący dla pouczania drugich, a więc ci, których szczególną troską powinna być odpowiedzialność za słowo, przyczynają się do siania zamętu, używając słów bez pokrycia. Jest np. bardzo popularne i szeroko stosowane p r z e c i w s t a w i a n i e pojęć Wschód — Zachód, tak powszechne na emigracji, gdy przecież mowa nie o Wschodzie, lecz o Rosji. Rosja jest również wielką, choć z innych powodów zagadką dla Wschodu jak i dla Zachodu. Nie wolno twierdzić wbrew całej oczywistości, że „Wschód — to ateizm“, gdy wiadomo przecież każdemu nieuprzedzonemu człowiekowi, że Wschód jest intensywniej, choć inaczej, religijny niż Zachód. Jest objawem jakiegoś dziwnego materializmu praktycznego uzależniać od geografii — obecność lub nieobecność Boga. Nie ma takiej linii, dzielącej świat na dwie części: jedną, tę „dobrą“, tę zachodnią, w której Bóg istnieje, i drugą, tę „złą“, „ateistyczną“, bez Boga, wschodnią! To właśnie czystej krwi — wschodni sposób stawiania rzeczy, wschodni w sensie wschodniego manicheizmu.

Czas było by przewietrzyć parę obiegowych sloganów, które dawno już domagają się odrzucenia, a wciąż jeszcze czynią spustoszenie w artykułach i przemówieniach emigracyjnych. Dlaczego Polacy, w których notabene jest tyle — dobrych i mniej dobrych — elementów wschodnich mają używać rzeczownika „Wschód“ i przymiotnika „wschodni“ jako obrazy? Dlaczego „Azjata“, „azjatycki“ jest wyzwiskiem? Dlaczego „Azja“ „Wschód“ mają to być synonimy „niewola“, „ucisk“ itp., gdy to tylko różne od naszego stylu życia i kultury, których nie wolno, chyba za cenę całkowitej ignorancji, oceniać miernikiem naszego stylu życia, bo przecież ten tak zwany zachodni czy „chrześcijański“ styl życia bynajmniej nie jest stylem uniwersalnym.

Przy okazji jedno jeszcze: Pokutuje wśród Polaków, którzy są pod wpływem ateistycznej i materialistycznej z a c h o d n i e j historiografii XIX wiecznej i nie orientują się, co już od lat 50, a zwłaszcza w ostatnim ćwierćwieczu przedstawiciele odpowiednich dyscyplin tu, na Zachodzie o tych sprawach dziś wiedzą i piszą; — pokutuje używanie w słowniku wyrażeń wysoce obraźliwych rzeczownika „Bizancjum“ i przymiotnika „bizantyński“. To tak, posługując się porównaniem, jakby ktoś dziś chciał używać przymiotnika stworzonego przez humanistyczną ignorancję: „gotycki“ na oznaczenie „barbarzyński“, lub, jak używał jeszcze Ignacy Chrzanowski, przymiotnika: „scholastyczny“ — równoznacznego w jego zrozumieniu z pojęciem „ciemny, głupi, zabobonny, dziwaczny“ itp.

Zabawne jest to nasze pokorne, bezustanne powoływanie się na Zachód przy równoczesnej nieznajomości jego dorobku w tylu dziedzinach.

jt

„PRZEZWYCIĘŻENIE POKUSY“

„Daily Telegraph“ doniósł, że w jednym z portów dominialnych (którego nazwy nie wymieniono) zorganizowani robotnicy zażądali specjalnego dodatku za pracę przy wyładowywaniu transportów whisky. Dodatek ten został nazwany „temptation money“, co wykłada się „dodatek za przezwyciężenie pokusy“. Komentator tygodnika „Truth“, przyznając słuszność i godziwość dodatków za wykonywanie prac szczególnie odpowiedzialnych lub niebezpiecznych, uważa przykład powyższy za sprowadzenie **ad absurdum** zdrowej skądinąd zasady. Zachodzi obawa, że wkrótce kasjerzy bankowi zażądaliby olbrzymich dodatków za to że nie kradną części przechodzących przez ich ręce pieniędzy, a sprzedawcy samochodów za to, iż nie przywłaszczają sobie samochodów przeznaczonych na sprzedaż.

sp

PATOS

NA pewnym zebraniu towarzyskim, gdy już trzeci z kolei mówca wynosił pod niebiosa własną organizację za to, czego to ona nie robi, a crescendo i sforzando ogólników świadczyło, że zaraz skończy, jedna z pań, obdarzona poczuciem humoru, szepnęła sąsiadom: — A teraz będzie „niech żyje Polska“! Lecz mówca jakoś się zagapił i tej uciechy nie sprawił.

Na zakończenie kursu z historii i kultury polskiej, urządzonym dla dzieci w Polish Research Centre przez komitet opieki nad młodzieżą przemówił jeden z chłopców Ludwik Buyno. Dziękował wykładowcom i organizatorom. To bardzo ładne i właściwe. Co to jednak znaczy potęga tradycji i ciągłość oratorskiej kultury narodowej! Ludwiś bowiem przemawiał nie jak chłopczyk, lecz jak dorosły Polak, według najlepszych wzorów polskiej swady, z nieśmiertelnym „niech żyje Polska“ na końcu... Okazuje się, że ani powodzenie ani nieszczęścia nie potrafią w nas wykrzesać choć krzty poczucia proporcji rzeczy i humoru. Dzieci podśmiewały się serdecznie z tego patosu, ale dorośli byli z siebie niebywale zadowoleni, że to tak dostojnie, tak z namaszczeniem, tak po polsku, tak „nasza krew“, panie dzieju!

Ponad 80 chłopców i dziewcząt słuchało z przyjemnością i chętnie wykładów prof. H. Paszkiewicza i doc. K. Lanckorońskiej z historii i kultury polskiej. Pomysł tych kursów jest świetny, realizacja doskonała, a na najwyższe uznanie i naśladownictwo zasługuje fakt, że wykładowcami dla dzieci są nie domorośli amatorzy, jacyś „pełni zapału i oddania dla sprawy“ społecznicy, ale znakomici fachowcy, obdarzeni przy tym wielkim darem sugestywnego słowa.

jt

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu.

KULT SZTUKI XVIII STULECIA.

Coraz silniejsze jest w Anglii zainteresowanie drugą połową XVIII wieku i pierwszymi dziesięcioleciami wieku XIX jako okresem największego rozkwitu malarstwa angielskiego. Świeżo B.B.C. rozpoczęło na ten temat szereg audycji; pierwsza poświęcona była Sir Thomasowi Thornhillowi, znakomitemu malarzowi angielskiemu, który zdobił kopułę katedry św. Pawła w Londynie, wielką salę pałacu w Greenwich, sufity i klatki schodowe pałacu Hampton Court oraz wiele rezydencji wiejskich w całej Anglii. Autor audycji, J. Isaacs uważa Thornhilla za najwybitniejszego w malarstwie angielskim przedstawiciela późnego baroku. Malarstwo barokowe wprowadził do Anglii Neapolitańczyk, Antonio Verrio, który poprzednio czynny był we Francji na dworze Ludwika XIV. Do Anglii ściągnął go Karol II, który w zakresie sztuki pragnął współzawodniczyć z monarchą francuskim i chciał mieć swoje własne Wersale. Król ten przebudował część zamku windsorskiego, którą następnie Verrio udekorował swymi malowidłami. Nawet inna królewska rezydencja: Whitehall Palace w Londynie dostała wówczas kaplicę barokową. Kaplica ta już nie istnieje; niewiele także zostało z malowideł Verria w Windsorze. Po tym włoskim artyście promotorem baroku w Anglii był malarz Louis Laguerre, który był właściwym mistrzem Thornhilla, — tym razem Anglika czystej krwi.

Isaacs w odczycie swym podkreśla, że barok do niedawna był w Anglii pogardzany, dziś jednak jest on traktowany jako ważny etap w dziejach sztuki — i nawet w Anglii mówić można o barokowym malarstwie, barokowej architekturze, barokowym dramacie i barokowej muzyce.

Na marginesie tych uwag stwierdzić warto, że ten barokowy okres w Anglii stanowi jakby powrotną falę wpływów katolickich w sztuce — wpływów, które Anglii zawsze wychodziły na dobre.

Seria wspomnianych audycji poprzedzona została wstępnym przemówieniem Geoffreya Grigsona, który zaznaczył, że między rokiem 1750 a 1840 rozwinęła się w Anglii poważna szkoła malarska; najwybitniejszymi jej przedstawicielami byli Thornhill i Hogarth. Rozwój ten zahamowany został przez brak kultury artystycznej i tani sentymentalizm, jakim odznaczał się dwór królowej Wiktorii, oraz przez rewolucję przemysłową. Były wprawdzie wybitne wyjątki i w tym późniejszym okresie — jak np. Turner i Whistler —, na ogół jednak zły smak górował i świetność szkoły poprzedniej została zapomniana.

Redakcja „Listenera“, organu B.B.C. polemizuje lekko z tymi poglądami, choć w zasadzie z nimi się zgadza, —, i ostrzega przed popadnięciem w drugą ostateczność: bezkrytycznego uwielbienia wieku XVIII w sprawach sztuki.

Z GALERII LONDYŃSKICH

W galerii obrazów „Twenty Brook Street“ wystawione są płótna marynisty M. Leszczyńskiego, nadto obrazy Norlanda.

W galerii Roland, Browse i Delbanco (19, Cork Street, W.1) odbywa się wystawa obrazów angielskich z okresu 1770-1920, a w Beaux Arts Gallery (1, Bruton Place, W.) wystawa malarzy francuskich XIX i XX wieku, pod nazwą „Maitres et Petits-Maitres“.

ZAGADKA ROZWIĄZANA?

Biografów Szekspira intrygowało zawsze dziesięciolecie 1584-1594, z którego brak jakichkolwiek danych, dotyczących życia, a nawet miejsca pobytu genialnego dramaturga angielskiego. W r. 1584 Szekspir przebywał jeszcze, u boku żony, w swym rodzinnym Stratford-on-Avon, a w dziesięć lat później figuruje w spisie aktorów „Lord Chamberlain's Company of players“ w Londynie, gdzie szybko wybija się na jedno z miejsc czołowych. Co jednak robił w czasie między tymi datami — niewiadomo. Powstało na ten temat dużo hipotez; jedna z nich (obalona już zresztą) utrzymywała, że Szekspir służył w wojsku w Niderlandach. Wedle innych grał on już wówczas w szeregu zespołów aktorskich.

Z nową tezą, popartą poważnymi argumentami, wystąpił obecnie w „John O'London's Weekly“ Cecil G. Gray. Przypuszcza on mianowicie, że Szekspir pełnił w tym czasie czynności nauczyciela (tutor) w dwóch wybitnych wówczas rezydencjach arystokratycznych w Shropshire: w domu Lady Margaret Newport i jej córki, Magdalen Herbert w Eyton-on-Severn, oraz w jednej z siedzib rodziny Herbertów, Ludlow Castle. W domach tych przebywając w towarzystwie wybitnych ludzi owego okresu, Szekspir miał sposobność nabyć ogłady i szeregu wiadomości, które następnie zużytkował w swej sztuce dramatycznej i w grze aktorskiej.

Gray popiera swą tezę szeregiem poszlak, które, choć nie w całości przekonywające, dają jej pewne prawdopodobieństwo.

WYSTAWA DZIEŁ WORDSWORTHA.

W salach British Museum, w których wystawione są stare książki, autografy i rękopisy, odbywa się obecnie wystawa rękopisów i pierwszych wydań dzieł Williama Wordswortha, dla upamiętnienia stulecia jego zgonu.

MIĘDZYNARODOWE BIURO POSZUKIWAŃ IRO AROLSEN/KASSEL, poszukuje:

ADAMOWSKI Antoni; mieszkał w Lanowce, pow. Borszczów; ostatnia wiadomość z Syberii;

ANDRUCHOWICZ Juliusz Adam, ur. 5.7.1921 w Tarnowie; był w 1939 r. w polskiej Armii; został ranny i wywieziony do Niemiec;

BADOWSKI Zbigniew Marian, ur. 2.8.1922; w styczniu 1943 r. w Tarnowie aresztowany, później wywieziony do obozu konc. Auschwitz;

DUDEK Józef, ur. 19.3.1917 w Detroit, USA.; był w 1939 r. w polskiej Armii; ostatnia wiadomość z 1943 r. przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż;

DWORECKI Jan, ur. 1906 albo 1896 w m. Lebedin, Ukraina; przebywał w 1945 r. w Udine, Włochy;

GOLBA Zygmunt, ur. 1.11.1929 w Rudzie-Pilczyckiej; wywieziony w 1944 r. do Niemiec;

GORNY Paweł-Zygfryd, ur. 10.4.1922 w Chojnicach, ostatnia wiadomość z 1945 r. z Saksonii;

GWIAZDA Zdzisław, ur. 23.3.1924 w Warszawie; wywieziony podczas powstania warszawskiego do obozu konc. Buchenwald, a stamtąd do obozu Natzweiler;

KOLANOWSKA z domu CHARYTANSKA Wanda, ur. 14.3.1920 w Wołkowysku nad Bugiem; ostatnia wiadomość z 1945 r. z Koenigsberg;

KUCZYNSKI Wacław Bolesław, ur. 1.3.1901 w m. Siedlska, gm. Dmochy; mieszkał w Wołominie; widziany w lutym 1945 r. rzekomo w m. Ankona we Włoczech;

LESZCZYŃSKI Sergiej, mniej więcej lat 42; mieszkał w Włodzimierzu Wołyńskim; wywieziony w 1944 r. do Niemiec;

MYSZKOWSKI Andrzej, ur. 30.11.1928 w Chełmży; był prawdopod. w niem. Armii;

NIECHAJ Stanisław, ur. 10.5.1896 w Woli Radziszowskiej; mieszkał w Krakowie; w styczniu 1943 r. aresztowany i wywieziony do obozu konc. Auschwitz;

SZYMCZAK Roman, ur. 6.7.1914 w Jakubowie; mieszkał w Turowie, gm. Duszniki; prawdopod. wywieziony do Niemiec;

WYSOCKA z domu DRANCZUK Helena, ur. 1873 w Nowosiółkach; ostatnia wiadomość z Kołchozu „Słowianka“ Sagradowsk, Kasakstan, Rosja.

ŻMUDZKI Jan Aleksander, ur. 12.12.1920 w Warszawie; w sierpniu 1944 r. wywieziony do obozu konc. Mauthausen; w maju 1945 roku oswobodzony przez Amerykanów; przebywa rzekomo w Anglii.

POWIEŚĆ JĘDRZEJA GIERTYCHA

Jak nas zawiadamia p. Giertych, pierwsze półtora tygodnia kampanii propagandowej, poświęconej prenumeracie jego powieści „W Polsce między wojnami“, do soboty dn. 29 kwietnia włącznie, przyniosło jako rezultat 82 zgłoszone prenumeraty, wyłącznie z terenu Wielkiej Brytanii.

Czas zgłaszania prenumeraty upływa z dniem 1 lipca. Zamierzone jest zebranie 1100 płatnych prenumeratorów z czego nie mniej niż 600 lub 700 musi przypaść na Wielką Brytanię.

Prenumerata wynosi 15 szylingów za całość, złożoną z trzech tomów, przyczem można ją uiszczać w kilku ratach. Po ukazaniu się książki, cena jej będzie podwojona. Wpłaty i zamówienia z terenu Wielkiej Brytanii przesyłać należy wprost pod adresem autora, 16, Beimont Road, Londyn N. 15.

Bliższe szczegóły o zamierzonym wydawnictwie zawarte są w ulotce, którą rozesłaliśmy naszym Czytelnikom wraz z jednym z poprzednich numerów.

Podajemy zarazem adresy — nie zamieszczone w ulotce — pod którymi nadsyłać można zamówienia i wpłacać prenumeratę na książkę p. Giertycha na terenie Niemiec i Belgii. **Niemcy.** P. Czesław Tarnowski, 3a Gartenstrasse, (23) Quackenbrück, żona brytyjska. **Belgia.** P. Jan Barański, 261, Chaussée de Wavre, Louvain-Heverlée. No konta pocztowego 565503.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2.** Telefony: **Redakcja** i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w **Redakcji:** Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja **czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.** Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych** wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy **dołączyć** znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać **należy** Postal lub **Money** orderami, **względnie** czekami bankowymi **„crossed“**, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w **tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. **Bożysław KUROWSKI.** Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 **DM. ARGENTYNA:** kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. **Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires.**

Printed by: „Veritas Foundation Press“ 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.